



Diana Hamilton

Szansa dla miliardera



ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Podobieństwo jest doprawdy uderzające. Zupełnie, jakbyś to ty była modelką. Spójrz tylko - powiedział Edward Weinberg, gdy Caroline weszła do jego gabinetu i położyła na wypolerowanym blacie antycznego biurka pracodawcy listę gości zaproszonych na prywatny pokaz. Oboje podeszli do obrazu, który portier w mundurze przyniósł właśnie z sejfu i ustawił na sztalugach..

Caroline nie mogła się doczekać chwili, kiedy zobaczy portret, który Michael, syn Edwarda, nabył niedawno na aukcji w niewielkim miasteczku w Konwalii. To ostatnie dzieło pędzla J.J. Lassoona, artysty z grupy prerafaelitów, wywołało głośny szum w elitarnym świecie wyrafinowanych kolekcjonerów, którzy potrafią wydać majątek, byle tylko wejść w posiadanie upragnionego obrazu.

Galeria Weinberga cieszyła się zasłużoną sławą, oferując dzieła sztuki najwyższej jakości. Jej właściciel sprawiał wrażenie człowieka tak delikatnego, że mógłby go zdmuchnąć lekki zefirek, ale w gruncie rzeczy był twardym biznesmenem, pilnie strzegącym reputacji swojej firmy.

Fioletowe oczy Caroline, ocienione długimi czarnymi rzęsami, rozbliły na widok zachwycającego portretu.

Jednocześnie musiała ze zdumieniem przyznać, że modelka rzeczywiście była do niej niezwykle podobna. Wprost szokująco.

Młoda dziewczyna, portretowana na tle bujnej zieleni i trzymająca w złożonych dłoniach białą lilię, przypominała do złudzenia Caroline sprzed dwunastu lat, czyli wtedy, gdy ona sama miała lat siedemnaście. Lśniące, długie do pasa czarne włosy spowijały modelkę niczym obłok, cerę miała delikatną, mleczną, nos wąski, szlachetnie zarysowany, pełne, różowe usta lekko rozchylone w tajemniczym uśmiechu i fiołkowe oczy pełne marzeń o miłości.

Nawet tytuł tego dzieła był świetnie dobrany. „Pierwsza miłość”.

Caroline poczuła, jak przeszywa ją dreszcz żalu i goryczy. Tak właśnie wyglądała kilkanaście lat temu, kiedy bez pamięci kochała Bena Dextera. Kochała go tak bardzo, że mogłaby chyba umrzeć z tej miłości.

Ale tak było, zanim dowiedziała się prawdy. Zanim Ben porzucił ją i przeciął nagle ich burzliwy romans, znikając z pieniędzmi, którymi przekupił go jej ojciec. Takiej sumy ten chłopak z biednej rodziny nigdy przedtem nie widział. W jego czarnych, cygańskich oczach pobłyskiwało zadowolenie. Trafiła mu się gratka, o jakiej nawet nie marzył. Smukły, zgrabny i męski, ruszył w drogę pewnym, tanecznym krokiem, nie oglądając się za siebie.

Caroline z odrazą odwróciła oczy od portretu, na którego widok zrobiło jej się słabo. Był piękny, ale żałowała, że go w ogóle zobaczyła. Przywołał bolesne wspomnienia, których za nic w świecie nie chciała odgrzebywać.

Gdy po chwili przeszła do gabinetu Michaela, by omówić z nim ostatnie szczegóły dotyczące prywatnego pokazu portretu, który miał się odbyć za parę dni, dopadła ją przez wewnętrzny telefon Lynne, jej sekretarka.

- Przygotowałam listy, które czekają na pani podpis i zestawienia bilansowe z księgowości. Będzie je chciał zobaczyć pan Edward. Aha, i prosił, żeby pani zarezerwowała sobie dzisiejszy wieczór. Zgłosił się ktoś, kogo bardzo interesuje „Pierwsza miłość”. Program, jak zawsze.

Szampan i kanapki, po czym - jeśli klient nie zmieni zdania i będzie gotów zapłacić słońną cenę - elegancka kolacja w jednej z najlepszych londyńskich restauracji. Obowiązkiem Caroline jako asystentki Edwarda było dopilnować, by wieczór upłynął przyjemnie, sam szef zaś miał wyeksponować zalety dzieła sztuki, które interesowało klienta.

- Więc może obędzie się bez prywatnego pokazu - powiedziała z zadumą Caroline, odkładając słuchawkę.

- Komuś musi naprawdę bardzo zależeć na tym obrazie

- dodała i spojrzała pytająco na Michaela.

Prywatne pokazy były zasadniczo elegancką i bardziej subtelną formą aukcji publicznej. Nie podawano oficjalnie cen wyjściowych, tylko dyskretnie o nich wspomniano, podobnie przebiegała sama licytacja, aż wreszcie, pod koniec dnia, początkowa kwota zmieniała się w prawdziwie bajątkową sumę.

Czasami jednak zgłaszał się klient gotów od razu zapłacić najwyższą cenę, aby tylko móc nabyć określone dzieło sztuki, i wtedy organizowano dla niego prywatne,

indywidualne spotkanie, jak to, które miało się odbyć tego wieczoru.

- Trudno powiedzieć - odparł Michael, rozpierając się wygodnie w fotelu. - Ojczulek zagrywa bardzo ostrożnie. Może sam wysłał w świat wici, a może czekał, co będzie, kiedy największe gazety opublikują zdjęcia tego obrazu? Diabli wiedzą, jak to było - dodał, spoglądając na swą rozmówczynię. Jego ciepłe, orzechowe oczy wyrażały aprobatę. Podobał mu się jej elegancki, dobrze skrojony kostium, podziwiał jej lśniące, zaczesane do góry kruczoczarne włosy. Caroline Harvey była doprawdy niezwykła. Zwracała uwagę urodą, inteligencją, sposobem wysławiania się. Dla mężczyzny stanowiła wyzwanie. Niejeden sądził, że ta wyjątkowo piękna kobieta jest nie do zdobycia. Michael powątpiewał, czy kiedykolwiek pozwoliła na niewinny pocałunek mężczyźnie, który od prowadził ją po randce do domu. Patrząc teraz na nią był ciekaw, czy jemu samemu by pozwoliła.

Caroline odpłacała mu równie dużym uznaniem, połączonym z rozbawieniem i sympatią. Syn Edwarda był dość przystojny, choć raczej krępej budowy. Ubierał się swobodnie, nie przykładął wagi do stroju. Może dlatego że, jak przypuszczała Caroline, nie miałby szans rywalizować z elegancją ojca, którego wytworna sylwetka przykuwała wzrok.

Gdy Caroline zbierała z jego biurka potrzebne dokumenty, Michael zagadnął ją:

- Co byś powiedziała na lunch? Tuż za rogiem, przy Berkeley Square, otwarto nową restaurację. Może przekonamy się, co jest warta?

Michael wstał i był gotów do wyjścia, ale Caroline przecząco pokręciła głową. Po jego rozwodzie, czyli mniej więcej od roku, często jadali razem lunch, gdy oboje byli w Londynie. Początkowo rozmawiali o interesach, ale od pewnego czasu poruszali też tematy bardziej osobiste. Michael między wierszami dawał jej do zrozumienia, że ich przyjaźń mogłaby przekształcić się w bardziej intymny związek.

Westchnęła cicho. Mając już na karku trzydziestkę, powinna dokonać pewnych wyborów: albo pozostanie niezamężną kobietą zaabsorbowaną karierą zawodową, otoczoną niewielkim gronem przyjaciół i pozbawioną własnej rodziny, albo się z kimś zwiąże, zaufa znowu jakiemuś mężczyźnie, a wtedy założy z nim rodzinę i będzie miała dzieci...

- Wybacz mi, proszę - odparła cicho - ale mam masę roboty. Muszę pozajątwiać wszystko na dzisiejszy wieczór i pojęcia nie mam, czy zdążę.

Pracowała szybko i sprawnie, więc udało się jej wyjść godzinę wcześniej, wpaść do swego mieszkania nieopodal Green Park, odpocząć chwilę, przebrać się i zdążyć z powrotem do Galerii Weinberga przy Mayfair na szóstą trzydziści.

Resztę tego łagodnego, kwietniowego dnia wolałaby raczej spędzić w domu z dobrą książką, co było zupełnie do niej niepodobne. Caroline dosłownie żyła swoją pracą. Ale nie cieszyła się na myśl o czekającym ją wieczorze. Świetnie wiedziała, dlaczego. Im szybciej przestanie mieć do czynienia z „Pierwszą miłością”, tym lepiej dla niej.

Dreńczyły ją wspomnienia, które wydobywał z głębi jej serca ten obraz. Do niedawna była pewna, że zapomniała już o bólu, jaki sprawił jej zawód miłosny sprzed lat. Wiodocznie się myliła.

Ubrała się wyjątkowo starannie, gdyż doskonała prezencja należała do jej zawodowych obowiązków. Chciała zresztą dobrze wyglądać. Wybrała na ten wieczór jedwabne spodnie bordo, żakiet o kroju smokinga w tym samym kolorze i kamizelkę w nieco jaśniejszym odcieniu. Strój uzupełniały kolczyki z granatów i lakierowane czółenka na wysokich obcasach.

Zjawiała się w galerii przed Edwardem i jego klientem, aby dla porządku sprawdzić, czy Robert, którego firmę zatrudniano do organizacji przyjęć, o czymś nie zapomniał.

- Jak zawsze, wszystko jest zapięte na ostatni guzik - pochwaliła go, rzuciwszy okiem na przygotowany już bufet i pięknie ułożone łososiowe róże w iskrzącym się w blasku świec kryształowym wazonie. - Nie musi pan czekać do końca, proszę tylko otworzyć szampana.

Caroline stanęła tak, by nie patrzeć na portret wyeksponowany na sztalugach i znakomicie oświetlony dyskretnie rozmieszczonymi reflektorkami. Całym wysiłkiem woli starała się odepchnąć bolesne wspomnienia, które się z nim kojarzyły. Na Boga, przecież to tylko obraz, powtarzała sobie, a Ben Dexter nic już dla ciebie nie znaczy od długich dwunastu lat. Przestań wreszcie o nim myśleć!

- Dziękuję, cieszę się, że jest pani zadowolona - uśmiechnął się Robert, obracając butelkę szampana w ku-

bełku z lodem. Na jego małą firmę cateringową zawsze można było liczyć. Należała do najlepszych w mieście.

Po krótkiej chwili w drzwiach stanął Edward i powiedział:

- Caroline, moja droga, pozwól, że ci przedstawię Bena Dextera. Panie Dexter, oto moja nieoceniona prawa ręka, Caroline Harvey.

Caroline musiała na chwilę przymknąć oczy. Wykładane boazerią ściany zawirowały wokół niej, wspaniały perski dywan omal nie usunął się spod nóg, a serce waliło młotem.

Ben Dexter?! Mężczyzna, który zabrał jej wszystko, co miała do ofiarowania - ciało, serce, duszę - i który potem zdradził ją jak Judasz i wziął nogi za pas. Zniknął z łapówką, którą dał mu jej ojciec. Właściwie powinna być Benowi wdzięczna, że nie zostawił jej z dzieckiem na ręku, tak jak potraktował Maggie Pope z pobliskiej wsi.

Zmusiła się, by otworzyć oczy, czepiając się jeszcze nikłej nadziei, że może jakiś inny mężczyzna tak samo się nazywa. Ujrzała jednak przed sobą jakże dobrze znane ' - wyraziste czarne oczy, szlachetnie zarysowane usta, głowę, którą nosił dumnie jak zawsze. Chętnie by mu w tej chwili dała w twarz za to, kim był i co uczynił.

Był postrachem rodziców wszystkich dziewcząt z okolicy. Nieokiełznany, podobny do Cygana, szczupły i pełen naturalnej gracji, z łatwością je uwodził, po czym przepadał bez wieści na długie tygodnie.

Ale gdy się do siebie zbliżyli dwanaście lat temu, Caroline jeszcze o tym nie wiedziała. Ben mówił, że ją ko-

cha, że chce z nią zostać na zawsze, do końca świata, aż gwiazdy rozsypią się w popiół. A ona mu uwierzyła. Teraz, gdy stał przed nią, z lekkim wyrazem pogardy w oczach, musiała opanować uczucia gniewu i bólu, które w niej wezbrały i wyciągnąć do niego rękę. Bała się dotyku tych szczupłych, silnych palców, ciepła jego skóry.

- Dobry wieczór panu - powiedziała i szybko cofnęła dłoń, którą uściskał.

- Dobry wieczór pani - odparł Ben głosem uprzejmym, lecz chłodnym. A jednak, choć brzmiał tak oficjalnie, wyczuła w nim dawne, zmysłowe ciepło- Świetnie pamiętała ten głos, wszystko co jej Ben mówił, słowa, którymi ją uwodził... Kłamstwa, same kłamstwa...

Po chwili odwrócił się od niej, z ledwo uchwytnym grymasem lekceważenia na ustach, wziął podany mu przez Roberta kieliszek szampana i wraz z Edwardem podszedł do obrazu, który przyszedł obejrzeć. A więc nie miał zamiaru ujawnić faktu, że znali się kiedyś, że łączyła ich miłość szalona jak burza, dawno, dawno temu, tego gorącego lata, gdy cały świat wydawał się jej piękny jak bajka.

No cóż, trudno mu się dziwić, skoro ona sama nie zdradziła Edwardowi, że się znają, kiedy ich sobie przedstawiał. Bardzo się dziś wstydziła swojej dawnej, niemądrej łatwowierności. A Ben najpewniej w ogóle o niej zapomniał. Była przecież tylko jedną spośród wielu naiwnych gąsek, które tylko marzyły, żeby mu się oddać!

Transakcja została zawarta szybko, przy szampanie i kanapkach. Caroline nie mogła pojąć, jak ten mężczyzna, który jako młody chłopak mieszkał z owdowiałą matką w nędznym, rozpadającym się domku, mógł dziś lekką ręką wydać taką masę forsy. Z pewnością doszedł do majątku w sposób niezbyt uczciwy, ale to już jej nie obchodziło.

Edward zaprosił ich na kolację do wyśmienitej, modnej restauracji. Caroline, która siedziała naprzeciwko Bena przy stylowo nakrytym stoliku, zerknęła na niego ukradkiem spod długich, czarnych rzęs.

Trochę się zmienił przez te dwanaście lat, był teraz bardziej barczysty, mocniej zbudowany, a jego przystojna, męska twarz wydawała się spokojniejsza niż dawniej, broda mocniej zarysowana, linia ust zaś zdradzała zdecydowanie.

Caroline spuściła wzrok i z trudem skupiła uwagę na łososiu z rusztu, którego właśnie jej podano. Edward, jak zwykle, zamówił szampana - nigdy nie pił innych trunków. Obaj panowie prowadzili swobodną rozmowę na różne tematy, od polityki po ostatnie premiery teatralne. Caroline nie włączała się do tej konwersacji, której nie chciało się jej nawet przysłuchiwać. Marzyła tylko, żeby ten wieczór wreszcie się skończył.

- Jeśli wolno, chciałbym wiedzieć, jak pani trafiła do prestiżowej Galerii Weinberga, panno Harvey? A może mógłbym do pani mówić Caroline?

Ton jego głosu natychmiast przywrócił jej przytomność. Również samo pytanie mogłaby potraktować jako obraźliwe, gdyż wyrażało poniekąd zdziwienie, że zechciała ją zatrudnić tak renomowana firma!

- Normalną drogą, jeśli to pana interesuje. Ukończyłam podyplomowe studia w dziedzinie historii sztuki oraz muzealnictwa. Tak się szczęśliwie złożyło, że Edward poszukiwał asystentki. No i przyjął właśnie mnie.

- A więc jesteś kobietą oddaną bez reszty swojej pracy zawodowej? I nie wyszłaś dotąd za męża, Caroline?

Nigdy przedtem nie używał jej pełnego imienia, twierdził, że język zawiązałby mu się na supełek. Mówił do niej Caro. Tak cicho, słodko, och, tak uwodzicielsko.

Serce zabiło jej boleśnie. Wiele by dała, aby móc na zawsze wymazać te wspomnienia. Z trudem udało jej się odpowiedzieć mu chłodno i z lekka lekceważąco:

- Nie, nie znalazłam mężczyzny, który by spełniał moje dość wysokie wymagania. A pan, panie Dexter? Czy jest pan żonaty?

Spostrzegła, że, słysząc to pytanie, zacisnął usta. Widocznie dotknęła czułego miejsca. Kątem oka ujrzała, jak Edward lekko zmarszczył brwi. W jego galerii rozmowy z klientami na tematy prywatne były tabu.

Trudno. To nie ona zaczęła, lecz Ben.

- Stan małżeński nigdy mnie nie pociągał. Nie zamierzam dobrowolnie dać się usidlić - odparł uprzejmie.

No tak, pomyślała Caroline, wolisz zmieniać kobiety jak rękawiczki. O mały włos nie powiedziała tego głośno. Chwała Bogu, bo z miejsca wyleciałaby z pracy.

Kiedy kelner przyszedł sprzątnąć talerze, skorzystała z okazji i wyszła do toalety poprawić makijaż. Oczywiście, że ją poznał, świadczył o tym błysk w jego oku. Zresztą niewiele się od tamtych czasów zmieniła. Może

trochę zeszczipiała, nabrała poloru i wyrafinowania, włosy nosiła krótsze, do ramion, zwinięte w ciasny węzeł.

No, jeszcze kilka minut i już nigdy więcej go nie zobaczy. Aby uspokoić nerwy, potrzywała przez chwilę przeguby dłoni pod zimną wodą, po czym wyjęła z torebki telefon komórkowy i zadzwoniła po taksówkę do firmy, z której zawsze korzystała.

Niedługo potem wróciła do stolika. Edward podał jej kartę deserów, ale ona zamknęła ją i odłożyła.

- Wybacz, Edwardzie, ale podziękuję dziś za deser. I muszę obu panów przeprosić, że ich wkrótce opuszczę, ale mam jutro męczący dzień.

Wiedziała, że szef nie będzie oponował. Świetnie wiedział, ile jego asystentka ma normalnie pracy, zwłaszcza teraz, kiedy trzeba przygotować nowy pokaz.

Wstała więc od stolika, uśmiechnęła uprzejmie i rzekła:

- Miło mi było pana poznać, panie Dexter.

Obaj mężczyźni wstali, aby ją pożegnać. Ben Dexter chrząknął i odezwał się aksamitnym głosem, w którym pobrzmiwała pewność siebie:

- Niech mi pani sprawi przyjemność, panno Harvey. Mój kierowca ma po mnie zajechać za dziesięć minut. Chętnie panią podwiozę, a tymczasem napijmy się jeszcze kawy.

Kiedyś dałaby się za niego porąbać. Dziś jednak potrafiła z prawdziwą satysfakcją odpowiedzieć mu słodko:

- To bardzo uprzejmie z pana strony, ale zapewne czeka już na mnie kierowca taksówki, którą zamówiłam. Życzę panom miłego wieczoru - dodała z uśmiechem i skierowała się do wyjścia.

Nie miała pojęcia, dlaczego Ben chciał ją odwiedzić do domu. Z pewnością nie dlatego, że był dżentelmenem! No i trudno sobie wyobrazić, żeby miał ochotę wspominać z nią dawne czasy. Ach, z jaką rozkoszą mu odmówiła! Najwyższy czas, aby Ben Dexter wreszcie się nauczył, że nie może mieć wszystkiego, czego tylko zapragnie.

RS

ROZDZIAŁ DRUGI

Caroline z ulgą usłyszała dzwonek budzika. Wstała, wyłączyła brzęczyk i głęboko odetchnęła. Miniona noc nie była przyjemna.

Nękały ją sny, w których widziała Bena. Sny erotyczne. Co chwila to się budziła, to znów zasypiała, słyszała jak Ben mówi, że ją kocha. Kłamstwa, same kłamstwa...

Parsknęła głośno, zła na siebie, i poszła się odświeżyć pod prysznicem. Obiecała sobie, że już nigdy więcej o nim nie pomyśli. Nie będzie miała powodu. Kupił obraz, dzięki któremu na krótką chwilę pojawił się znów jej życiu, dziś ten obraz zostanie zapakowany i odesłany. Koniec, kropka.

Rano była szczęśliwie bardzo zajęta, tak że nie miała czasu wracać pamięcią do snów, które ją dręczyły nocą. Zrobiła sobie jednak przerwę i przyjęła zaproszenie Michaela na lunch. Potrawy w tej nowej, szeroko reklamowanej restauracji okazały się wyśmienite, ale obsługa raczej powolna.

- Nie wiem jak ty, ale ja powinnam już wracać do galerii - powiedziała Caroline, dziękując za kawę. Właśnie miała wstać, kiedy Michael chwycił ją za rękę.

- I tak już jesteśmy trochę spóźnieni, więc kilka minut

więcej nie robi różnicy. Przy okazji, chciałem ci coś powiedzieć.

Spojrząwszy w jego oczy domyśliła się, co to takiego. A nie pragnęła tego usłyszeć. Jeszcze nie teraz. Nie była jeszcze gotowa.

Michael tymczasem przytrzymał jej dłoń w swojej.

- Z pewnością wiesz, że uważam cię za bardzo pociągającą kobietę - odezwał się szybko, tak by nie zdążyła zaprotestować. - Już dziś wszystko dobrze się między nami układa, i chciałbym, żebyśmy się do siebie bardziej zbliżyli. Nie wiem, co ty sądzisz o mnie, i nie chcę cię wprawiać w zakłopotanie pytając, ale muszę ci powiedzieć, Caroline, że dla mnie jesteś ideałem kobiety.

Myślę, że udałoby się nam razem zbudować coś dobrego i trwałego. Może w tej chwili nie jesteś o tym przekonana, ale czy nie zechciałabyś spróbować?

Caroline delikatnie wycofała rękę. Cóż miała mu odpowiedzieć? Jeszcze wczoraj o tej porze złapała się na myśli o tym, że jej zegar biologiczny tyka... Gdyby jej miłe układy z synem szefa przeistoczyły się w ściślejszy związek, pomyślała, to zamiast samotnej starości mogłaby wybrać ciepło i bezpieczeństwo uczuciowe, jakie stworzyłby jej mąż i rodzina.

Jeszcze wczoraj chętnie wysłuchałaby jego słów i pewnie zgodziłaby się spróbować. Więc skąd teraz to wahanie? Czyżby coś się zmieniło? Chyba tak...

- Z twego milczenia wnioskuję, że nie bardzo ci się podobam - westchnął cicho z markotną miną, jak mały chłopiec, który doznał zawodu.

- Jakoś nigdy o tym nie myślałam - powiedziała z ła-

godnym uśmiechem. Skłamała, aby mu oszczędzić przykrości.

- Ale pomyślisz, prawda? - zaryzykował Michael, któremu znów zaświtała nadzieja. - Może wpadniesz dziś do mnie na kolację? Kiedy odeszła Justine, nauczyłem się smażyć świetne befsztyki. Albo, gdybyś wolała, mógłbym przygotować świetną fasolkę na grzankach- Wybór należy do ciebie.

Zawahała się, widząc na jego twarzy chłopięcy uśmiech. Nie miała pojęcia, dlaczego jego małżeństwo rozpadło się po kilku zaledwie latach. Edward nic na ten temat nie wspominał, był jedynie zadowolony, że jego syn i synowa nie zdążyli mieć dzieci. Tak czy owak, Caroline bardzo nie chciałyby go skrzywdzić.

- Słuchaj - odparła szybko. - Pewnie o tym nie wiesz, ale jestem uczulona na fasolkę! Poza tym, proponuję, byśmy się spotkali w poniedziałek, już po pokazie.

Ale pod jednym warunkiem - ostrzegła go, wstając z krzesła i biorąc do ręki torebkę. - Że pozostaniemy przyjaciółmi. Niczym więcej, przynajmniej na razie. Po prostu nie jestem gotowa do podejmowania poważniejszych zobowiązań.

Nie jest gotowa? Przecież już od pewnego czasu dość często rozmyślała o swojej przyszłości. Dzieci. Szczęśliwe życie rodzinne. Wprawdzie niewiele o tym wszystkim wiedziała, ale rozważała poważnie taką możliwość.

- Przyjmuję twoje warunki - odparł Michael, regulując rachunek. - Ale nie miej do mnie żalu, jeśli spróbuję wpłynąć na zmianę twojej decyzji. Prędzej czy później.

Zrozumiała, że popełniła błąd, dostrzegając na jego twarzy uśmiech zadowolenia. Wspólny lunch to tyle co nic, ale kolacja w jego mieszkaniu?

Ogarnęły ją wątpliwości. Jeszcze kilka dni temu uważałyby takie zaproszenie za naturalne, zważywszy na ich zacieśniającą się przyjaźń, i cieszyłyby się na to spotkanie. Teraz zgodziła się go odwiedzić dlatego, że był jej przyjacielem, sympatycznym facetem, i nie chciała mu sprawić przykrości zdecydowaną odmową.

Po powrocie do galerii powiedziano jej w recepcji, że chce się z nią zobaczyć Edward. Zaraz. Natychmiast.

Idąc do jego gabinetu obiecała sobie, że z problemem Michaela upora się równie łatwo, jak ze wszystkim, z czym musiała sama sobie radzić, odkąd w wieku osiemnastu lat opuściła rodzinny dom.

Uporać się ze wszystkim, z wyjątkiem...

- Rozmawiałem z Benem Dexterem – poinformował ją Edward, gdy tylko zamknęła za sobą drzwi. – Życzy sobie, żebyś oszacowała wartość przedmiotów w posiadłości, którą niedawno nabyła jedna z jego firm. Jeśli dobrze pamiętam, było to jakieś półtora roku temu.

Edward spojrział na nią uważnie, lekko zaniepokojony jej milczeniem i wyrazem twarzy.

- Caroline, czy aby dobrze się czujesz? Widzę, że pobałdłaś. Może lunch ci nie posłużył? Proszę cię, usiądź na chwilę i odetchnij.

Caroline nie mogła się pozbierać, usłyszawszy nazwisko Bena Dextera. Jej nagłe osłabienie nie miało oczywiście nic wspólnego z tym, co jadła, ani z niezrozumiałą dla

niej samej zmianą jej stosunku do Michaela.

Poza tym, o jakiej to firmie wspominał Edward? Znajac Dextera, był to pewnie jakiś szemrany interes. Czy powinna przestrzec swojego szefa, wyznać mu, że wie, iż jego klient jest kłamcą i oszustem? Będzie musiała to przemyśleć. W każdym razie nie ma mowy, żeby zgodziła się pracować dla Bena. Niech ktoś inny wycenia mu antyki, obrazy, cokolwiek tam zostało.

- Dziękuję, nic mi nie jest - odparła, biorąc się w garść i siadając na fotelu przed biurkiem. – Słucham cię.

Edward popatrzał na nią znowu i, wyraźnie uspokojony, ciągnął dalej.

- Jego firma, Wiejskie Rezydencje, nabyła posiadłość w Shropshire, duży podupadający dom wraz z gruntami. Planują utworzyć tam w przyszłości tereny golfowe, zbudować klub sportowy, centrum rozrywki i niewielką fermę hodowlaną, a na razie zajmują się samym domem, remontem i przebudową.

Caroline serce stanęło w gardle. Mało kto nie słyszał o Wiejskich Rezydencjach, firmie odnoszącej fantastyczne sukcesy i cenionej zarówno przez przedstawicieli wielkiego biznesu, jak i obrońców przyrody. Musiała jednak pomylić się, podejrzewając, że Ben zdobył fortunę w nieuczciwy sposób. Ta świadomość jednak jej nie pocieszyła, wręcz przeciwnie. Od tak dawna uważała Bena Dextera za kłamcę, oszusta i zdrajcę, że niełatwo jej było zmienić zdanie i przyznać się do błędu.

Ale o jakiej posiadłości mówił Edward? Nagle prze-

mknęło jej przez myśl, że chyba wie, o jakiej. Czy możliwe, by jego firma nabyła jakiś inny, podupadający majątek w Shropshire jakieś półtora roku temu? Mało prawdopodobne...

- Mówisz może o Langley Hayes? - zapytała z uśmiechem, który nie zdradzał większego zainteresowania, chociaż serce o mało nie wyskoczyło jej z piersi. Nie chciała, by Edward czegoś się domyślił.

- Czyżbyś znała tę posiadłość?

Skinęła lekko głową, udzielając w ten sposób niezobowiązującej odpowiedzi. Tara się przecież urodziła i tam mieszkała - poza okresami, kiedy przebywała w szkole z internatem - aż do czasu, kiedy opuściła dom, aby uciec od nieszczęścia, jakie ją tam spotkało i od własnego ojca, który ją źle traktował.

Matki nie pamiętała. Laura Harvey zmarła wkrótce po urodzeniu Caroline. Kiedyś, ukradkiem, udało się jej odnaleźć w albumie kilka fotografii, które nie pozostawiały wątpliwości, że jej matka była bardzo piękną kobietą.

Caroline nie odwiedziła już nigdy rodzinnego domu. Ojciec wyraźnie jej tego Zabronił. Gdy przyjechała na jego pogrzeb, co uczyniła z czystego obowiązku, ograniczyła się do udziału w samych uroczystościach. Poinformowano ją, że dom i ziemię sprzedano firmie Wiejskie Rezydencje. Większość uzyskanej ze sprzedaży kwoty poszła na opłacenie długu hipotecznego, który zaciągnął jej ojciec, a pozostała niewielka suma przypadła Dorothy Skeet, kobiecie, która prowadziła mu dom i przez wiele lat była jego kochanką.

Najwyraźniej to niezobowiązujące skinięcie głową wystarczyło Edwardowi, który ciągnął dalej:

- Jak powiedział Dexter, jego firma zakupiła dom wraz z całą zawartością. Niektóre meble i inne przedmioty sprawiają wrażenie wartościowych, inne nie, ale Dexter przyznaje, że nie jest ekspertem i dlatego chciałby, żebyś wszystko obejrzała i oszacowała.

- Mówiliście o tym po moim wyjściu z restauracji?

- zapytała Caroline ostrożnie.

- Nie, Dexter dzwonił do mnie dziś rano, wczoraj wyszedł niedługo po tobie. Umówiliśmy się, że jego kierowca przyjedzie po ciebie do domu w poniedziałek o dziesiątej rano. Myślę, że nie zajmie ci to więcej niż parę dni, ale nie musisz spieszyć się z powrotem. Dexter jest naszym bardzo dobrym klientem i nie chciałbym go stracić.

- Edwardzie, w przyszłym tygodniu mam mieć dyżur w recepcji, a poza tym muszę przygotować wszystko do następnego pokazu, naprawdę powinnam być na miejscu

- zaprotestowała spokojnie, ale stanowczo.

Wszyscy wykwalifikowani pracownicy galerii pełnili co jakiś czas dyżury w recepcji. Zaglądali tam często ludzie ze „skarbami” w plastikowych torbach lub owiniętymi w gazetę, w nadziei że stary dzbanek po babci lub obraz, który wiele lat temu wynieśli na strych, może być dziś wart majątek.

- W recepcji zastąpi cię Edna, a z resztą sami się uparamy. Dexter specjalnie prosił o twoją pomoc, pewnie dlatego, że miał okazję wczoraj cię poznać i jest pod wrażeniem twego profesjonalizmu - wyjaśnił Edward i znów

spojrzał na nią badawczo. - Czy mi się zdaje, że nie bardzo masz ochotę na ten wyjazd?

Trafił w dziesiątkę! Zrobiłaby wszystko, byle się z tego wykreść. Nie dość że Ben, niegdyś ubogi chłopak, który łamał dziewczęce serca bez najmniejszych skrupułów, kupił posiadłość miejscowego dziedzica, jej ojca, to jeszcze chciał ją upokorzyć, zatrudniając do sortowania przedmiotów w jej dawnym rodzinnym domu. Chciał, by zamienili się teraz rolami.

W zasadzie mogła odmówić, ale wolała nie narażać się Edwardowi. Był naprawdę znakomitym pracodawcą, ale gdyby teraz stanęła okoniem, nigdy by jej tego nie zapomniał ani nie wybaczył.

- Wyobrażam sobie, że Dexter ma kopalnię pieniędzy - rzuciła, pragnąc się czegoś dowiedzieć o tym, kogo uważała za swego wroga.

- No cóż, z pewnością nie wystawia czeków bez pokrycia - oznajmił beznamiętnie Edward. - O ile wiem, jest bogaty jak Krezus. Zaczynał zupełnie od zera. Mniej więcej rok temu czytałem o nim artykuł w pewnym poważnym czasopiśmie. Okazuje się, że stworzył wielką firmę produkującą oprogramowania komputerowe i jest podobno geniuszem w tej dziedzinie. Finna znakomicie prosperuje i dalej się rozwija, ale Dexter chce działać także w innych dziedzinach, dlatego zainteresował się rynkiem nieruchomości. Mówi się, że jest miliarderem.

- I nigdy się nie ożenił?

To pytanie niechcący wymknęło się jej z ust. Była na sobie wściekła. - Jak mogła się tak zapomnieć?

- Nic mi nie wiadomo o jego życiu osobistym - od-

parł chłodno Edward, ucinając dalszą rozmowę na ten temat.

Caroline świetnie wyczuła jego niezadowolenie. Wstała, wygładziła spódniczkę, zgarnęła z fotela torebkę i zapytała:

- Nie orientujesz się, czy on chciałby sprzedać jakieś wartościowe przedmioty?

Było w ich posiadłości trochę ładnych rzeczy, które pamiętała i sama chętnie by kupiła. Ale prawdopodobnie ojciec dawno już je spieniężył, gdy był w kłopotach finansowych. .

- O ile wiem, zamierza zatrzymać to, co najbardziej wartościowe. Twoim zadaniem będzie wskazać mu przedmioty, które mogą stanowić dobrą inwestycję - odrzekł Edward i zaczął porządkować papiery na biurku, dając jej sygnał do odejścia.

Posiadłość Langley Hayes, dom i okoliczne tereny, wyglądała zupełnie inaczej niż przed laty - zauważyła natychmiast Caroline, gdy tylko kierowca zaparkował mercedesa na zwirowanym podjeździe przed głównym wejściem. Georgiańską fasadę przesłaniały rusztowania, a rozległy park, przez który przejeżdżali, przed laty zdziczały i zarosnięty, dziś pięknie się prezentował. W oddali Caroline spostrzegła dwóch mężczyzn z teodolitem. Ciekawe, czemu miały służyć te pomiary. Może planowano tu utworzenie pól golfowych, a może budowę klubu lub centrum rozrywki?

-Widzę, że robota wre - odezwała się Caroline do kierowcy, który wyjmował z bagażnika jej walizkę. Przyjem-

nie było chwilę postać przed wejściem w ciepłym, kwietniowym słońcu.

- W zasadzie ukończono już remont domu - wyjaśnił kierowca. - Był naprawdę w opłakanym stanie. Ale szef szybko zaczął działać. - Taki już jest. Kiedy podejmie decyzję, od razu bierze się do dzieła. A teraz zaprowadzę panią do pani Penny, która jest tu gospodynią - powiedział i ruszył z walizką w stronę drzwi. - Ona już się panią zajmie.

Drzwi wejściowe były świeżo pomalowane, a szyby w oknach lśniły jak nigdy. A więc pani Skeet nie prowadzi już domu, pomyślała Caroline, wchodząc do obszernego holu. Widocznie Ben Dexter lubił zaczynać wszystko od nowa. Nie bawił się w sentymenty, podobnie jak z kobietami, pomyślała z goryczą.

Na podjeździe nie zauważyła innych samochodów, z wyjątkiem ciężarówki robotników budowlanych i wywrotki na gruz. Oczywiście, samochód Bena mógł być niewidoczny, jeśli zaparkował go za budynkiem starej stajni. Caroline, nie mogąc dłużej wytrzymać dręczącej ją niepewności, zaryzykowała wreszcie pytanie:

- Czy pan Dexter jest na miejscu?

- Nie wiem, proszę pani. Ja robię tylko to, co mi zleca jego sekretarz. Jestem kierowcą i tyle. A teraz proszę chwilkę poczekać. Pójdę poszukać pani Penny.

Caroline wzięła głęboki oddech i rozejrzała się wokoło. Schody, łagodnie wznoszące się ku górze, były świeżo pokryte woskiem, podobnie jak stare, rzeźbione boazerie na ścianach. Posadzka z biało-czarnych kamiennych płytek błyszczała jak lustro. Trudno było teraz po-

RS

znać ten dom, tak bardzo zapuszczony w czasach, kiedy tu mieszkała.

Gdy tak stała, mimo upływu lat pobrzmiwały jej w uszach echa przeszłości. Nieledwie słyszała cierpki głos ojca: „Caroline, zrobisz to, co ci każę, bez dyskusji”. Albo: „Nie zamierzam tego tolerować. Wiejskie andrusy nie są dla ciebie odpowiednimi towarzyszami. Jeśli mnie nie posłuchasz, zostaniesz surowo ukarana”. I błagalny głos pani Skeet: „Nie sprzeciwiaj się ojcu, Caroline. Przecież wiesz, że nie warto”.

Aż wreszcie mu się sprzeciwiła. I to zdecydowanie. W rezultacie wyrzucił ją z domu. A ona chętnie się wyniosła. Dzięki spadkowi, jaki zostawiła jej matka, mogła dalej się uczyć.

Czy wszystko potoczyłoby się inaczej, gdyby żyła matka? I gdyby Caroline była nie córką, ale synem, którego tak pragnął ojciec?

- A to miła niespodzianka! Widzę, że opanowałaś Harveyowską pychę. Nie byłem pewien, czy zdecydujesz się przyjechać.

Caroline zadrżała na dźwięk jego ciepłego, niskiego głosu i pokonując wewnętrzny opór odwróciła się, by na niego spojrzeć. Wysoki, smukły, ciemnowłosy i czarnooki, ubrany w czarne, obcisłe dżinsy i czarną koszulę z cienkiej bawełny, świetnie się prezentował.

Serce jej zamarło, gdy go ujrzała, ale powiedziała sobie, że w żadnym wypadku mu nie ulegnie. Jego urok już na nią nie działa. Nie będzie zabawką w jego rękach.

Licząc się z tym, że może go tu spotkać, ubrała się szczególnie starannie. Miała na sobie znakomicie skro-

jony, ciemnoniebieski kostium, czółenka na wysokich obcasach, śmiesznie drogie, cieniutkie jak pajęczyna pończochy i cienki złoty łańcuszek połyskujący na perłowymleczonej szyi. Włosy upięła w węzeł na karku.

- W sprawach zawodowych nie mam żadnych uprzedzeń. Zaangażował pan profesjonalistkę, która ma wykonać dla pana określoną pracę.

- Właśnie widzę - odparł z lekkim rozbawieniem, lustrując ją wzrokiem od stóp do głów. -1 na dodatek ubraną elegancko, ale z podziwu godnym umiarem, i znakomicie opanowaną. W każdym calu dziedziczkę z dobrej, ziemiańskiej rodziny. Chociaż pamiętam czasy, kiedy...

- tu wymownie zawiesił głos.

- Proszę pana - weszła mu w słowo Caroline, która na próżno usiłowała opanować dreszcz, o jaki przypawiło ją jego spojrzenie, wędrujące po jej całej postaci.

- Proponuję, byśmy nie wykraczali poza cel mojej wizyty.

Z niezręcznej sytuacji wybawiła ją trzydziestokilkuletnia blondynka, która szła w ich stronę szybkim krokiem.

Kosmyki krótkich włosów okalały jej otwartą, pogodną twarz. Szczupła, niskiego wzrostu, miała na sobie praktyczne, niebieskie džinsy i granatową bawełnianą koszulkę. A więc tak wygląda pani Penny? Zupełnie inaczej, niż jej poprzedniczka, Dorothy Skeet, pulchna, cała w loczkach, nosząca ślady dawnej urody.

- Przepraszam, że pani na mnie czekała, ale Martin nie mógł mnie znaleźć - odezwała się energicznym głosem. - Lunch będzie za kwadrans, w pokoju śniadaniowym. A teraz pokażę pani jej pokój - zwróciła się

z uśmiechem do Caroline, spoglądając na nią żywymi, szarymi oczami. - Wzięła walizkę i skierowała się w stronę schodów.

Caroline ruszyła za nią. Musiała trzymać się poręczy, bo z wrażenia wciąż kręciło się jej w głowie. Nie dość, że Ben był tutaj i jego obecność bynajmniej nie ułatwi jej pracy, to jeszcze pozwalał sobie na aluzje do przeszłości i wypowiadał się na temat jej wyglądu. No tak, pomyślała, następne dni będą zapewne niełatwe.

RS

ROZDZIAŁ TRZECI

- To tu - powiedziała pani Penny, otwierając drzwi na końcu szerokiego, długiego korytarza biegnącego przez cały dom, - Nie jest to, niestety, apartament, ale łazienkę znajdzie pani tuż obok.

Caroline stanęła w progu, nie mogąc uwierzyć oczom. Czy to przypadek, czy też Dexter polecił gospodyni, by przygotowała dla niej właśnie to pomieszczenie?

Przecież świetnie wiedział, że był to jej dawny pokój. Ileż razy rzucał kamyczkami w okno, żeby ją obudzić? Ale ona i tak nie spała. Zawsze czekała na jego sygnał. Marzyła, żeby znów znaleźć się w jego ramionach, niepokoiła się, czy na pewno przyjdzie, gotowa sfrunąć bezszelestnie po schodach, by się z nim wkrótce połączyć, stopić w jedno w magicznej ciszy ciepłej, letniej nocy.

No cóż, to było dawno temu, powiedziała sobie. Nigdy więcej nie da mu się usidlić. Dziś jest silna i potrafi panować nad sobą i swoim życiem.

Z zadowoleniem stwierdziła, że pokój, chociaż ten sam, wygląda zupełnie inaczej. Znikły wyblakłe, wzorzyste tapety w misie i kaczuszki, ściany pomalowano na delikatny, złocisty kolor, bladezielony puszysty dywan zastąpił spękane brązowe linoleum, które ziębiło jej bosc stopy, kiedy zimą wstawiała z łóżka.

- Pokój śniadaniowy jest na drugim piętrze, korytarzem w lewo - wyjaśniła gospodyni, stawiając walizkę przy łóżku. Jeśli będzie pani czegoś potrzebowała, proszę mi dać znać.

- Dziękuję - powiedziała z uśmiechem Caroline i, pokonując wewnętrzny opór, z udaną swobodą weszła do pokoju.

- Proszę mi mówić po imieniu. Jestem Linda - zwróciła się do niej gospodyni z szerokim, szczerym uśmiechem na twarzy.

- A ja jestem Caroline. Proszę cię, Lindo, powiedz mi, czy pan Dexter zostanie tu dłużej?

- Pewnie kilka dni. Zwykle wpada tu od czasu do czasu, żeby zobaczyć, jak postępują prace, ale tym razem przyjechał ze sporym bagażem. Aha, chciałam cię uprzedzić, że lunch będzie skromny, wszystko na zimno. Ja zajmuję się głównie administracją i raczej mamie gotuję. Kucharka na stałe będzie tu dopiero od przyszłego miesiąca.

Kucharka i gospodyni na stałe, rozważała w duchu jej słowa Caroline, kiedy Linda zostawiła ją samą w pokoju. Skoro Dexter chce, żeby dom był dobrze prowadzony, to pewnie zamierza tu na stałe zamieszkać. Czyżby chciał pokazać, że ten nieokiełznany, biedny chłopak ze wsi dziś jest panem tej starej szlacheckiej rezydencji, jak niegdyś jej ojciec? Na dodatek panem bez porównania zamożniejszym, żyjącym wykwinicie i rozdającym garściami pieniądze?

Caroline westchnęła i zabrała się do rozpakowywania walizki, rozmyślając nad tym, co tu zastała. Nie mogła

przecież winić Dextera za jego poczynania. Jego matka, której Caroline nie darzyła zbyt dużą sympatią, płaciła niewielki czynsz za wątpliwą przyjemność wynajmowania rozpadającego się domku, położonego na gruntach należących do posiadłości jej ojca. Nikt inny za żadne skarby by w tym domku nie chciał zamieszkać, ale matki Bena nie stać było na lepsze lokum dla siebie i syna. Większość mieszkańców wioski patrzyła na nich z góry. Trudno więc się było dziwić Dexterowi, że uległ pokusie i chciał tu powrócić i szpanować swoim niedawno zdobytym majątkiem.

Zresztą, jego motywy niewiele ją obchodzą. Przyjechała tu, aby wykonać określoną pracę i wrócić do Londynu.

Gdy kilka minut później otworzyła drzwi do pokoju śniadaniowego, Dexter czekał już na nią, stojąc tyłem do wysokiego okna, ujmującego w ramy widok na wypielegnowany park. Nie dała tego po sobie poznać, ale spostrzegła, że ten wysoki, znakomicie zbudowany mężczyzna o oczach czarnych jak węgle był jeszcze przystojniejszy niż dwanaście lat temu.

Czegoś mu jednak brakowało. Nie dostrzegła ani śladu jego dawnej czułości, uwodzicielskiego uśmiechu, który tak ją urzekał tego niezwykłego lata, pełnego magii i miłości. Dziś stał przed nią mężczyzna arogancki, z nieco bezczelnym uśmieszkiem na twarzy. Jego spojrzenie wyrażało drwinę i ukryty gniew. Nie mogła pojąć powodu tego gniewu. Jeśli już ktoś miał prawo być zagniewany, to z pewnością ona, a nie on.

- A więc nie poprosiłaś, żeby ci przyniesiono lunch do

pokoju. Brawo! - odezwał się z ledwie wyczuwalną ironią w głosie.

Caroline z trudem powstrzymała się od ostrej repliki, on zaś nie tracąc czasu wskazał jej miejsce gestem silnej dłoni o długich, szczupłych palcach. Na niewielkim, okrągłym stole stały fajansowe półmiski z wędliną i pieczenia wołową oraz jakieś sałatki. Była również butelka wina, znakomitego burgunda. Caroline postanowiła jednak nie wypić ani kropli, gdyż chciała zachować absolutną jasność umysłu w kontaktach z mężczyzną, który, jak czuła, wciąż stanowił dla niej zagrożenie.

Nagle przeszył ją dreszcz. Miała nadzieję, że on tego nie zauważył, ale się myliła.

- Zimno ci? - zagadnął, unosząc czarną brew. -

A mnie się wydawało, że jak na połowę kwietnia jest dziś wyjątkowo ciepło.

Wyjął z koszyka wino, ale Caroline szybko przykryła dłonią stojący przed nią kieliszek. Ben widząc jej gest pokręcił lekko głową i napełnił swój tylko do połowy.

- Proszę, częstuj się. Zdaje się, że mamy dziś niezłą wołowinę. Ach, chciałem cię przeprosić za to marne nakrycie. Podejrzewam, że twój ojciec sprzedał rodowe srebra i szlachetną porcelanę Royal Worcester.

- Przestań wreszcie! - zawołała. Wprawdzie postanowiła, że zignoruje jego osobiste wycieczki, ale puściły jej nerwy.

- Wiem, dlaczego chciałeś, żebym tu przyjechała, więc skończmy tę komedię, dobrze? Powinnam się zabrać do pracy, do której mnie zaangażowałeś.

Miała wielką ochotę wstać i opuścić ten pokój, ale przemogła się. Nie chciała robić z siebie przedstawienia

ani pokazać Benowi, jak łatwo mógłby ją znowu dotknąć. Siedziała więc spokojnie i starała się przybrać znudzoną minę. Po chwili jednak on oparł się wygodnie w krześle, skrzyżował ręce na piersi i zagadnął kpiąco:

- Może mi powiesz, dlaczego chciałem, abyś tu przyjechała?

- Bo mój ojciec nazwał cię ostatnim nicponiem - wyrzuciła z siebie z nieukrywaniem już gniewem, powtarzając dokładnie te słowa, wypowiedziane z pogardą wiele lat temu. - Okradałeś go, demoralizowałeś wiejskie dziewczęta... Oboje z matką żyliście w nędzy i brudzie. Więc kiedy mój ojciec zmarł, pogrążony w długach, i mogłeś kupić jego posiadłość, postanowiłeś mnie tutaj sprowadzić i upokorzyć!

Caroline od czasu zdrady Bena nauczyła się panować nad silnymi uczuciami, a zwłaszcza nad ślepy, bezmyślnym gniewem. W tej chwili jednak dała się ponieść emocjom. Może to i lepiej, pomyślała. Nie należy dusić w sobie gniewu, który pozostawia potem trudno gojące się rany.

- Nic podobnego - odparł lekko Ben, którego jej ty rada ani na chwilę nie wytrąciła z równowagi. - To fakt, że nie mogliśmy sobie pozwolić na lepsze mieszkanie niż ta rozpadająca się rudera, ale faktem jest również, że twój ojciec rad był z każdego grosza, jaki mu matka płaciła. Jeśli zaś idzie o kradzież, to miałem czternaście lat, kiedy tu przyjechaliśmy, i wydawało mi się, że wolno mi łowić pstrągi w strumieniu poniżej tej naszej nory. Twój ojciec szybko wyprowadził mnie z błędu, grożąc mi strzelbą. Ale wracając do rzeczy - ciągnął chłodniej-

szym tonem - muszę zaprzeczyć, jakobym ściągnął cię tutaj, aby cię upokorzyć moim sukcesem materialnym. Twoja obecność jest po prostu konieczna. A teraz proponuję, żebyśmy coś zjedli - dodał rzeczowo, podając jej półmisek z wędlinami - a potem będziesz mogła zabrać się do pracy.

Kiedyś mówił, że nie może być bez niej szczęśliwy, że potrzebuje jej obecności; dziś potrzebował jedynie jej fachowej wiedzy. Ale na cóż te wycieczki w przeszłość, na cóż porównania z niemiłą terażniejszością. Tak, gdyby nie Edward, który nie chciał stracić cennego klienta i dobrej opinii o swojej galerii, najchętniej by stąd uciekła.

Nakładając na talerz plastry wołowiny i pomidora Caroline uświadomiła sobie, że Ben nie zaprzeczył, iż sprowadzał kiedyś na złą drogę dziewczęta z wioski. To jasne, pomyślała, po prostu nie mógł temu zaprzeczyć.

Czy wiedział, że zostawił po sobie przynajmniej jedno pozbawione ojca dziecko, kiedy zniknął ze wsi, bogatszy o kilkaset funtów, które dostał od jej ojca, byle tylko poszedł sobie i więcej nie wracał? Oczywiście, że wiedział. Maggie Pope mu powiedziała, że jest ojcem jej małej córeczki. Ale on nie chciał o tym słyszeć.

- Skoro jestem tu po to, żeby wskazać, które przedmioty w tym domu są cenne, a które można śmiało wyrzucić, może zechciałbyś mnie poinformować, od czego mam zacząć. Chyba że dajesz mi wolną rękę?

- Proponuję, żebyś zaczęła od góry - odparł Ben, znów taksując ją wzrokiem.

Caroline w cichości ducha była zadowolona, że, prze-

widując możliwość spotkania z nim, elegancko się ubrała.

- Mam wrażenie, że przez długie lata nikt nie zaglądał na strych. Może znajdziesz tam coś ciekawego. Ale muszę cię uprzedzić, że zastaniesz tam niezły bałagan, kurz, którego chyba nikt nigdy nie usuwał, śmieci i gruz po naprawie dachu. Będzie tam można posprzątać dopiero wtedy, kiedy się wypowiesz, czy znalazłaś coś, co warto zatrzymać. Więc jeśli już skończyłaś bawić się jedzeniem - zauważył, dopijając wino - to może weź się do pracy.

Doprawdy, pomyślała Caroline stając w drzwiach wiodących na poddasze, Ben zachował się paskudnie. Widząc, jak jest ubrana, specjalnie posłał ją na strych, który wyglądał znacznie gorzej niż przed laty. Wszędzie pełno było kawałków odbitego tynku i rozpadających się kartonowych pudeł pokrytych pajęczynami. Brudne szmaty tylko częściowo osłaniały rupiecie, które tu kiedyś wyniesiono, zamiast w ogóle się ich pozbyć.

Caroline zdjęła wprawdzie w swoim pokoju pończochy i zmieniła czółenka na mokasyny, ale gdyby została w kostiumie, w którym przyjechała, z pewnością mogłaby się z nim na zawsze pożegnać.

Ben zapewne się spodziewał, że ona przywiezie tu same eleganckie stroje i zechce mu się zaprezentować jako chłodna, wyrafinowana i samodzielna kobieta, całkowicie oddana swojej karierze zawodowej, jakże różna od tej dzikiej, nieposkromionej dziewczyny, którą przed laty trzymał w ramionach i kochał, szepcząc jej słowa uwielbienia. Jakże się zmienił! A może nie tak bardzo?

Okrucieństwo widać leżało w jego naturze. Inaczej nie byłby wykorzystał jej, a potem zdradził i okłamał. Ani nie porzuciłby kobiety, która urodziła jego dziecko.

Caroline powiedziała sobie, że dość tych rozmyślań i zeszła po krętych schodach ze strychu, po czym skierowała się do kuchni. Zauważyła w niej nową posadzkę z kamiennych płytek, dużą, elektryczną kuchnię, która wyglądała na najnowszy model, ogromną zmywarę i lodówkę. Czyżby Ben zamierzał się ożenić i założyć liczną rodzinę? No cóż, to jego sprawa.

- Czy mogłabym pożyczyć jakiś stary roboczy kombinezon? - zapytała Lindę, która siedziała przy stole i robiła rachunki. - Mam się zabrać do porządków na strychu.

- Ojej, strasznie tam brudno - westchnęła Linda, odkładając pióro i uśmiechając się ze współczuciem. - To będzie koszmar roboty. Powiedziałam, że cały ten kram należałoby spalić, ale szef uważa, że mogą tam być przedmioty o wartości sentymentalnej. Ten dom należał do rodziny od kilku pokoleń; właściciel zmarł, ale żyje jego córka. Szef powiedział, żeby niczego tam nie ruszać, bo może ona zechce kiedyś tu przyjechać i wtedy byłoby jej przykro, gdyby się okazało, że zniszczono rodzinne pamiątki.

Czy możliwe, żeby Dexter był aż tak troskliwy? Na myśl o tym serce zabiło jej żywiej. Rzeczywiście sądził, że ona tu kiedyś wróci? Czy po spotkaniu w Londynie skorzystał z okazji i ściągnął ją tu, bo chciał, aby zabrała sobie cenne dla niej rzeczy? A jeśli tak, to musiała być w błędzie sądząc, że zależało mu tylko na zamianie ról,

na odwróceniu sytuacji sprzed lat, kiedy to ona była córką dziedzica, a on andrusem z dołów społecznych, bez grosza przy duszy.

- Teraz rozumiem - wyjaśniła Lindzie z głębokim westchnieniem - że nie wysłał mnie na strych tylko po to, bym się utyłała w kurzu i brudzie. Tak się składa, że ja jestem córką właściciela tego domu.

- Ach, nic o tym nie wiedziałam! - powiedziała Linda z widocznym zażenowaniem. - Bardzo mi przykro... A jeśli chodzi o kombinezon, to ja sama czegoś takiego nie mam, ale zdaje mi się, że poprzednia gospodyni zostawiła tutaj swój. Poczekaj chwilkę, sprawdzę w kartonie, w którym gromadzimy rzeczy do oddania na cele dobroczynne.

Po kilku minutach wróciła z przewieszonym przez rękę czyściutko upranym i złożonym nylonowym kombinezonem w słodkie kwiatuszki. Był taki kobiecy, dokładnie w guście Dorothy Skeet...

- Dziękuję ci, Luido. A propos, czy wiesz, gdzie się teraz obraca pani Skeet? - zagadnęła ją Caroline, biorąc z jej rąk kombinezon. Powodowała nią po trosze ciekawość, a po trosze sympatia, jaką jeszcze dziś darzyła kobietę, która lepiej lub gorzej, ale jednak starała się nią przed laty opiekować.

- Wynajmuje domek tuż obok sklepów we wsi - odparła Linda. - Kiedy zaczął się tu remont, przychodziła kilkakrotnie, żeby uporządkować ubrania po twoim ojcu. Miła z niej kobieta, moim zdaniem, może tylko trochę zbyt nerwowa. Była bardzo przygnębiona po śmierci twojego ojca.

Linda zapewne chciałaby wiedzieć, dlaczego tymi

smutnymi porządkami nie zajęła się córka właściciela domu, ale Caroline nie miała ochoty jej tego wyjaśniać.

- Któregoś wieczora pójde ją odwiedzić - oznajmiła i pomaszerowała na strych. Pamiętała aż nadto dobrze, dlaczego dwanaście lat temu ojciec zabronił jej wstępu do domu, czemu powiedział, że nie chce jej już więcej widzieć. Nigdy się jednak nie dowiedziała, dlaczego odmawiał jej wszelkich uczuć. Może Dorothy Skeet zna odpowiedź na to pytanie?

W swoim pokoju Caroline odwiesiła kostium do szafy, i wprost na stanik i figi włożyła kombinezon, o wiele na nią za obszerny. Materiał był prawie przezroczysty, a różowe i niebieskie różyczki wyglądały po prostu idiotycznie. Pocieszała się jednak, że nikt jej nie zobaczy w tym koszmarnym przebraniu. Zresztą nie miała innego wyjścia, jeśli nie chciała zniszczyć kostiumu.

Nie zważając na panującą na strychu duchotę, zaczęła metodycznie przeglądać wszystko po kolei, aby opróżnić przestrzeń pod ścianą, gdzie mogłaby potem poprzemnieść wszystko, co nadawało się do wyrzucenia. Z trudem taszcząc po zakurzonych, chropowatych deskach kartony z wyszczerbioną porcelaną i wysłużonymi garnkami oraz jakieś zdezelowane wiktoriańskie graty, nie mogła pojąć, dlaczego ludzie przechowują takie rzeczy. Po chwili jednak przypomniała sobie, że jako dziecko chętnie zakradała się na strych, jak do jakiegoś świata z bajki, i znajdowała tu pocieszenie, gdy było jej smutno, czuła się samotna lub gdy padał deszcz.

Pamiętała, że stał tam metalowy kufer ze starymi stro-

jami, należący zapewne do jej babki, a potem matki. Starannie ułożone ubiory były bardzo piękne i delikatne. Takie stroje z epoki, jeśli zachowały się w dobrym stanie, przedstawiały obecnie dużą wartość.

Gdy odnalazła wreszcie ten kufer i otworzyła wieko, okazało się, że jest pusty, na dnie leżała tylko paczuszka listów przewiązanych wyblakłą wstążką. Widocznie jej ojciec wyprzedał całą zawartość, gdy popadł w kłopoty finansowe. Może ten pomysł podsunęła mu Dorothy Skeet? Caroline świetnie pamiętała głos gospodyni, tak, jakby słyszała go wczoraj: „Domyśliłam się, że cię tu znajdę. Ale teraz pora spać. I uważaj, żeby czegoś nie podrzeć i nie pobrudzić. Za te fatalaszki można dziś dostać sporo pieniędzy”.

Caroline przysiadła na piętach i, pozostawiając na policzku ciemną smugę, odgarnęła z twarzy pasmo czarnych, lśniących włosów, które wymknęło się jej ze starannie upiętego wężła.

Gdyby tylko opanował swoją pychę i sprzedał Langley Hayes, zamiast obciążać nieruchomość hipoteką, i przeniósł się do jakiegoś mniejszego domu, mógłby przeżyć ostatnie lata wolny od kłopotów finansowych. Ale pycha nie pozwoliła mu tego zrobić.

Westchnąwszy głęboko, Caroline sięgnęła po listy. Rozsupłała wstążkę, wyjęła z paczuszki pierwszy z góry list i zaczęła czytać. Zorientowała się, że te listy pisał ojciec do jej matki, jeszcze przed ślubem. Już po kilku wierszach była przekonana, że oboje byli bardzo w sobie zakochani, a dalsza lektura upewniła ją, że Reginald Harvey wprost uwielbiał swoją piękną przyszłą żonę.

Drżącymi rękami wsunęła z powrotem list do koperty i owiązała znów paczuszkę wstążką. Te osobiste pamiątki ukazały jej ojca od zupełnie nieznannej strony. Z wyblakłych stronic wprost biła w oczy i przenikała do serca jego miłość, mocna i nieprzemijająca.

Z paczką listów w ręku Caroline podniosła się i zamknęła wieko kufra. Oczy miała pełne łez. I przez te łzy znieznacka ujrzała postać Bena. Serce jej zamarło na jego widok.

Przez ostatnie godziny ani razu o nim nie pomyślała, a teraz oto stał przed nią w otwartych drzwiach i uważnie się jej przyglądał.

Przemknęło jej przez głowę, że gdyby w swoim czasie, zamiast uparcie milczeć i patrzeć na niego wyzywająco, wyjaśniła ojcu, jak bardzo kocha Bena, może by ją zrozumiał. Przecież on sam doświadczył miłości, która wiąże człowieka z drugą osobą w sposób magiczny, miłości urzekającej, odmieniającej cały świat.

Ale zaraz potem pomyślała cynicznie, że niczego by to nie zmieniło. Nawet gdyby ojciec zaakceptował jej związek z rozhukanym chłopakiem ze wsi, zamiast straszyć ją ogniem piekielnym, happy endu i tak by nie było. Czarnooki Ben, pełen ognia i fantazji, w gruncie rzeczy nigdy nie darzył jej uczuciem. Kłamał, wyznając jej miłość, bo przyszła mu ochota się z nią kochać, a potem bez żalu ją rzucił i szukał zaspokojenia gdzie indziej, zadowolony, że ma w kieszeni forszę, którą przekupił go jej ojciec.

Gdy podniosła oczy, zobaczyła, że Ben wciąż bacznie się jej przygląda i zatrzymuje wzrok na zarysie jej ciała

świetnie widocznym przez przezroczysty kombinezon oraz na mikroskopijnym czarnym staniczku i figach.

Powstrzymując impuls, by uciec gdzie pieprz rośnie, uniosła nieco wyżej głowę i zapytała chłodno:

- Czy czegoś chciałeś?

- Kogoś. Ciebie.

Przez moment skrzyżowały się ich spojrzenia i Caroline wydawało się, że on mówi poważnie. Przeszył ją dreszcz, ogarnęła nagle fala gorąca, a oddech zamarł w gardle. Gdy zbliżył się do niej, zauważyła, że zniknął kuszący uśmiešek na jego twarzy, a zamiast niego między czarnymi brwiami pojawiła się głęboka bruzda.

Oczywiście, pomyślała, nie chciał jej dzisiaj tak jak niegdyś. Namiętnie, zaborczo, impulsywnie. Chciał tylko sprawdzić, czy osoba, którą zaangażował do pracy, sumiennie wykonuje swoje obowiązki, a nie przycupnęła gdzieś w kącie, żeby pomalować sobie paznokcie.

No i dobrze, bo przecież ona też go nie chciała. Do chwili, kiedy musnął jej policzek palcami, odsuwając z twarzy pasmo włosów. Wtedy wszystko w niej stopniało i połączyło się w jeden szalony nurt - wspomnień dawnej ekstazy i obecnego pożądania.

Widząc, jak bardzo jest zmieszana, Ben dotknął czubkiem palca jej wilgotnych rzęs i odezwał się stłumionym głosem:

- Wprowadziłem cię w zakłopotanie, Caro. Nie chciałem tego, wierz mi, proszę.

W jego czarnych jak węgiel oczach dostrzegła tę dobrze znaną aksamitną miękkość, która przenikała jej serce. Przypomniała sobie, jak to pewnej księżycowej nocy

wpadła na pień młodego dębu, ponieważ, kiedy byli razem, nie widziała niczego poza Benem. Dziś patrzył na nią dokładnie tak samo jak przed laty i głaskał delikatną białą skórę na jej ramieniu. Wtedy nie wątpiła ani przez chwilę w szczerłość jego troski o nią. I to był błąd.

- Sądziłem, że może zostało tu jeszcze coś, co miałoby dla ciebie wartość sentymentalną - powiedział cicho. - Pamiątki z dzieciństwa, albumy z fotografiami, cokolwiek, co chciałabyś zatrzymać. Osobiste rzeczy twego ojca są u pani Skeet. Wiem, że chciała się z tobą skontaktować. Postaram się zaaranżować wasze spotkanie przed twoim wyjazdem.

- Dziękuję, ale to nie będzie konieczne - odparła rzeczowo, a nawet chłodno i zdjęła jego rękę z ramienia. - Sama się do niej wybiorę. A jeśli idzie o rzeczy na strychu, to jak dotąd niczego cennego ani interesującego tutaj nie znalazłam, nie licząc tych listów, które zamierzam zatrzymać. Ale będę jeszcze szukała.

- Nie teraz - powiedział Ben i ruszył w kierunku wyjścia. - Możesz wrócić do pracy jutro rano. Powiedziałem Lindzie, że kolację zjemy dziś poza domem, ona i tak ma dość roboty. - W drzwiach zatrzymał się, odwrócił i jeszcze raz na nią spojrzął.

- Pozbądź się, proszę, tego osobliwego stroju. Sam nie wiem, co to takiego? Nocna koszula? Przebierz się i bądź gotowa do wyjazdu za pół godziny.

ROZDZIAŁ CZWARTY

- Musisz być porządnie głodna, bo prawie nie tknęłaś lunchu - odezwał się Ben, tym razem nie z troską, lecz z lekkim rozbawieniem w głosie. Wyłączył silnik samochodu, wysiadł i otworzył jej drzwiczki.

Dochodziła ósma i na bezchmurnym niebie zaszło już słońce.

- Jestem, ale nie bardzo - odpowiedziała z rezerwą Caroline, która w gruncie rzeczy była głodna jak wilk, ale nie chciała się do tego przyznać.

Ubrała się możliwie najskromniej, przewidując, że Ben zabierze ją do wiejskiego pubu, ale, ku swemu zaskoczeniu, znalazła się na podjeździe przed ekskluzywną restauracją. Jeśli wszystkie panie będą miały na sobie małe czarne sukienki, pomyślała, to będę wyglądała jak idiotka w kremowych lnianych spodniach, kaszmirowym sweterku i mokasynach od Gucciego.

Oczywiście, postanowiła się tym nie przejmować. Zresztą, jak się okazało, to Ben, w swoim nienagannie skrojonym garniturze, skupił na sobie spojrzenia gości. Gdy usiadła naprzeciw niego i kelner podał im oprawne w skórę grube, okazałe karty, zaczęła się zastanawiać, dlaczego mu zależy na tym, żeby zrobić na niej dobre wrażenie. Może z tego samego powodu, dla którego kupił

Langley Hayes - gdyż chciał zaimponować okolicznym mieszkańcom?

Imponował jej bardziej przed dwunastoma laty, kiedy wprost palił się, żeby ją poślubić i zdobyć odpowiednie środki, które zapewniłyby jej życie na wysokim poziomie. Tak w każdym razie mówił, a ona mu uwierzyła. Jak mogła być taką łatwowierną idiotką! Wprawdzie tymczasem zdobył fortunę, ale nie kiwnął nawet palcem, by ją odnaleźć i poślubić.

Oddała z ulgą ciężką kartę kelnerowi, który właśnie przechodził i odezwała się chłodno:

- Jutro trochę później zacznę pracę. Wybieram się na wieś, bo chcę zobaczyć, czy Angie Brown nadal prowadzi sklep ze sportową odzieżą. Potrzebuję odpowiedniego ubrania, jeśli mam dalej buszować po strychu. A propos, miałam na sobie kombinezon Dorothy Skeet. Nie zwykłam sypiać spowita w cudaczne kwieciste szmatki.

Szybko się zorientowała, że popełniła błąd, przypominając mu o scenie na strychu i jego sugestii, że ma na sobie nocną koszulę. Ben zaśmiał się figlarnie i zapytał:

- A w czym sypiasz? W eleganckich jedwabnych piżamach? Pamiętasz może, że w swoim czasie naszym łóżem był mięciutki, chłodny mech. A jeśli padał deszcz, co zdarzało się rzadko, spaliśmy na słodko szeleszczącym sianku nad stajnią twego ojca. Bez żadnych szmatek. Muszę cię jednak zmartwić - dodał po chwili, widząc, jak Caroline oblała się rumieńcem. - Angie jest już na emeryturze, a nowi właściciele sklepu nie prowadzą sportowej odzieży. Ale jutro muszę pojechać do Shrewsbury na spotkanie z

moim adwokatem. Jeśli chcesz, mogę cię zabrać. Będiesz miała dość czasu na zakupy. W mieście jest dobra włoska restauracja i moglibyśmy się tam spotkać na lunch.

- Nie korzystasz z porad jakiejś znanej, londyńskiej kancelarii adwokackiej? - spytała zdziwiona Caroline.

- Nie, wolę wspierać miejscowych doradców.

Tymczasem do stolika podszedł kelner, by przyjąć zamówienie.

- Na co miałabyś ochotę? - zapytał Ben.

Caroline zamówiła koktajl z krewetek, a potem medaliony cielece ze szpinakiem. Zaintrygowała ją jego wypowiedź o wspieraniu miejscowych adwokatów. Można było sądzić, że zamierza osiąść na stałe w Langley Hayes. W domu dość dużym, by pomieścić jego żonę, rosnącą gromadkę dzieci i całą armię służących. Na samą myśl o tym, że Ben zamierza się ożenić, zrobiło się jej słabo.

Zupełnie nie wiadomo czemu. Przecież dziś był dla niej nikim i mogła tylko współczuć jego przyszłej żonie. Ktoś, kto kiedyś kłamał i oszukiwał kobiety, będzie to robił zawsze.

Kolacja upłynęła przy banalnej rozmowie. Caroline była szczęśliwa, kiedy wreszcie skończyli posiłek i wstali od stolika.

Gdy jechali w stronę domu aleją pośród drzew pokrytych świeżą zielenią, jak w tunelu rozświetlonym złocistym blaskiem reflektorów jaguara, Caroline przemknęło przez myśl, że niebawem powietrze przepelni woń dzikiej róży i powoju. Wprawdzie w dzieciństwie często czuła się

samotna i nieszczęśliwa, jednak nie przestała kochać rodzinnych stron. Teraz jednak, gdy niespodzianie ogarnęła ją nostalgia, szybko odsunęła na bok budzące żal wspomnienia. Jej świat - praca, dom, przyjaciele - był w Londynie, a nie tutaj.

Gdy wjechali na podjazd przed domem, odezwała się cierpko:

- Nie mam wątpliwości, że w tej okolicy przydadzą się pola golfowe i ośrodek wypoczynkowy - z pewnością twoja firma przeprowadziła dokładny wywiad, zanim podjąłeś decyzję w sprawie tych inwestycji - ale czy nie będą ci przeszkadzały tłumy ludzi kręcących się w pobliżu domu? Mój ojciec dostałby chyba apopleksji, gdyby po jego posiadłości szwendało się, jak mawiał, pospólstwo.

- Nie jestem twoim ojcem - odparł zimno Ben. -A poza tym nie będę tu zbyt często bywał. Zachowam dla siebie tylko prywatny apartament.

Caroline weszła do domu przed nim, ale on dogonił ją w holu i zagadnął:

- Może napilibyśmy się wina?

Jakże łatwo byłoby ulec tej pokusie. Pobyć z nim trochę, przekonać się, jakim jest dziś człowiekiem. I czy potrafi kochać tak namiętnie i spontanicznie jak kiedyś, czy też może jest już zbyt zblazowany? Caroline odsunęła jednak od siebie te myśli i pokręciła w odpowiedzi głową.

- Dziękuję ci, ale nie. Aha, miałam zapytać, o której wyjeżdżasz jutro do Shrewsbury.

- O dziesiątej. Powinniśmy być z powrotem przed trzecią. Jesteś pewna, że nie masz ochoty na wino?

- Absolutnie pewna.

Gdyby z nim jutro pojechała, straciłaby na tę wyprawę większość dnia. Poza tym, nie miała zamiaru spędzać z nim więcej czasu, niż to było absolutnie konieczne. Że też nie przyszło jej do głowy zabrać ze sobą bardziej praktycznego stroju. No cóż, prawdę powiedziawszy, niczego takiego nie miała w domu...

- Chyba jednak zrezygnuję w wyprawy do miasta, bo zajęłoby mi to zbyt wiele czasu. Jakoś sobie dam radę. Dobranoc - rzuciła, odwracając się od niego i kierując ku schodom.

- Chyba czegoś się boisz, Caro - zawołał za nią Ben. - Ciekaw jestem czego?

Gdy znalazła się wreszcie w swoim pokoju, zamknęła za sobą drzwi i oparła się o nie, z trudem łapiąc oddech. Miała wrażenie, że ukończyła maraton, podczas którego po piętach deptał jej diabeł. Tym diabłem był Ben Dexter.

Kiedyś go uwielbiała, dla niego żyła. Kiedy ją zawiódł, jej świat legł w gruzach. Przez te długie lata nawet nie przyszło jej do głowy, że on wciąż może ją tak bardzo pociągać. A jednak...

Odsunęła się od drzwi, zła na siebie, że w ogóle o tym myśli. Włożyła seledynową nocną koszulę, narzuciła szlafrok w tym samym kolorze i poszła do łazienki wziąć prysznic, zmyć z siebie wszystkie problemy tego trudnego dnia. Kiedy, odświeżona, stanęła przy drzwiach swego pokoju, zastała tam Lindę, która na nią czekała.

- Pomyślałam sobie, że może przydałyby ci się te ciuchy
- powiedziała gospodyni. - Pewnie będą trochę za

szerokie i za krótkie, ale chyba bardziej praktyczne od tego kombinezonu w kwiatki.

- Nie masz pojęcia, Lindo, jaka ci jestem wdzięczna - wykrzyknęła Caroline. Dżinsy i wypłowiała zielona bawełniana koszulka to było właśnie to, czego potrzebowała. Korciło ją, aby zapytać, dlaczego Ben, chociaż cały dom był jego własnością, chciał dla siebie zatrzymać tylko apartament, ale na szczęście ugryzła się w język. Przed nikim, a głównie przed samą sobą, nie chciała się przyznać, że ją to w ogóle obchodzi. - To bardzo miło z twojej strony.

- Nie ma sprawy - uśmiechnęła się Linda. - Zwykła rzecz. Jak ci się udał wieczór?

- Kolacja była znakomita - odparła Caroline, i na znak, że nie ma ochoty więcej o tym mówić, nacisnęła kłamkę i otworzyła drzwi.

- Cieszę się - powiedziała Linda. - Na wszelki wypadek chciałam się z tobą pożegnać, bo biorę wolne na resztę tygodnia, mam być chrzestną matką pierwszego dziecka mojej siostry, a ty pewnie skończysz tutaj pracę przed moim powrotem.

Ładna historia! A więc zostanę tu sama z Benem, pomyślała Caroline, z miłym uśmiechem podając Lindzie rękę i wymieniając z nią uprzejme słowa pożegnania. Kiedy wreszcie zamknęła za sobą drzwi i została sama, postanowiła się tym nie przejmować. Poradzi sobie z Benem Dexterem, nie trzeba jej niczyjego wsparcia.

Ale gdy się położyła i zgasiła światło, sen nie nadchodził. Przyłapała się na tym, że nasłuchuje, czy w jej

okno nie uderzy kamyk na znak, że Ben czeka na nią na dole.

Jakże chętnie by do niego pobiegła...

Z trzepoczącym sercem usiadła na brzegu łóżka, zapaliła nocną lampkę i przycisnęła palce do obolałych skroni. Musi natychmiast wziąć się w garść, przestać rozpamiętywać przeszłość. Dziś oboje nie byli już tymi samymi ludźmi co kiedyś, ale jedno się nie zmieniło: Ben okazał się draniem bez serca. Mężczyzna, którego kochała przed Jaty, był jedynie tworem jej wyobraźni, głupiego, romantycznego marzenia.

Gdy zerknęła na zegarek, zobaczyła, że jest już po drugiej nad ranem. Wiedziała, że nie uda się jej zasnąć, więc, zamiast przewracać się na łóżku i na nowo przeżywać bolesne wspomnienia, postanowiła wstać i zabrać się do roboty. Im szybciej ją skończy, tym szybciej będzie mogła stąd wyjechać.

Zarzuciła na siebie szlafrok, mocno przewiązała się paskiem, zabrała notes i cichutko ruszyła w stronę schodów.

Postanowiła zacząć od jadalni. Stół w stylu regencji wraz z kompletem dwunastu krzeseł został sprzedany już dawno temu. Kiedy czternastoletnia Caroline przyjechała do domu na ferie z okazji Świąt Bożego Narodzenia i spytała ojca, co się stało z tymi meblami, ten odparł z sarkazmem:

- A jak sobie wyobrażasz, z czego mam wziąć na twoją szkołę i internat? Mam obrabować bank? A może poprosić o pomoc dobrą wróżkę?

Nowego stołu ojciec nigdy nie kupił, nie było zresztą

potrzeby, bo i tak nigdy nie przyjmował gości. Powinien jednak stać tu jeszcze mahoniowy bufet, chyba z epoki Jerzego III, i duży kredens z tego samego okresu. Oba meble były cenne i z pewnością warto by je uznać za rozsądną inwestycję.

Po otwarciu podwójnych drzwi wiodących do jadalni, Caroline bez trudu odnalazła przełącznik i zapaliła światło. Przez chwilę stała jak zamurowana, nie mogła poznać tego pokoju. Brzydkie, stare, czerwone tapety z wypukłym wzorkiem znikły, a ściany pomalowano na delikatny, brzoskwiniowy kolor. Pod nogami lśnił odnowiony parkiet, a pośrodku stały dwa stoły refektarzowe z długimi ławami po obu stronach. Przy okazałych rozmiarów kominku ustawiono wygodne fotele.

Caroline, pamiętając, że kuchnię wyposażono tak, aby można w niej przygotowywać wiele posiłków, zaczęła się zastanawiać, co Ben planował tutaj urządzić. Chyba nie hotel, bo wyposażenie domu, choć funkcjonalne i estetyczne, było jednak dość skromne.

Wtem usłyszała, że ktoś otwiera drzwi, które przedtem /a sobą zamknęła. Wstrzymała oddech i modliła się w duszy, by to była Linda, która chciała się przekonać, kto chodzi po domu, a nie Ben.

Ale nie miała szczęścia. Chwilę potem ujrzała go przed sobą, ubranego w czarny sweter i stare dżinsy. Podobnie jak ona, był boso. I taki przystojny, że nie mogła oderwać od niego oczu. Ciemne włosy miał zmierzwione, na brodzie i policzkach cień zarostu, a czarne oczy spoglądały na nią uwodzicielsko, tak jak kiedyś.

- Domyślałem się, że nie mogłaś zasnąć - odezwał się

miękkim głosem, omiatając spojrzeniem zarysy jej ciała, których nie ukrywały fałdy jedwabnego szlafroka. - Ciekaw jestem dlaczego?

- Zwyczajna niestrawność. Pewnie zjadłam coś, co mi nie posłużyło - skłamała. Nie chciała, by się domyślił, jak bardzo się jej nadal podoba.

Jak na ironię, żaden mężczyzna tak na nią nie działał. Oczywiście, przez te wszystkie lata umawiała się mężczyznami, była przecież normalną kobietą. Ale nikt nie budził w niej tak intensywnych emocji i takich erotycznych tęsknot.

Drżącymi rękami otworzyła notes, który tu przyniosła i wyciągnęła wsunięty do środka długopis.

- Sen jakoś nie przychodził, więc postanowiłam trochę popracować. Nie chciałam zakłócać twojego spokoju.

- Ale zakłóciłaś - odparł sucho. - I co? Udało ci się coś ustalić?

Caroline pospiesznie rozejrzała się jeszcze raz po jadalni i z trudem zbierając myśli, odrzekła:

- Pamiętam, że stał tu bufet. Ojciec pewnie go sprzedał, a może przeniósł go do innego pomieszczenia?

- Nie.

Caroline, której oczy były zwrócone w innym kierunku, poczuła, że Ben zbliża się do niej. Że podszedł bardzo blisko. Wstrzymała na chwilę oddech, po czym odezwała się zmienionym głosem:

- Ale widzę, że zachował się kredens. Georgiański. Cenny. Warto go zatrzymać, jeśli zależy ci na dobrej inwestycji.

- W tej chwili zależy mi raczej na tobie.

Caroline zadrżała na te słowa. Wiedziała, że Ben naprawdę tak myśli, czuła na sobie jego palący wzrok. Chciała szybko stąd uciec. Natychmiast. Ale nie mogła ruszyć się z miejsca. Chwilę potem poczuła ręce Bena na swoich biodrach, przesłoniętych warstwami cienkiego jedwabiu. Proszę cię, pomyślała, proszę nie dotykaj mnie. Ale również język odmówił jej posłuszeństwa.

- Widzę, że ci zimno, chyba zanadto przykręciłem centralne ogrzewanie - powiedział Ben. – Chodźmy stąd. Napij się ciepłego mleka, to ci pomoże na .. .niestrawność.

Powinna zaprotestować, że nie ma ochoty ani na ciepłe mleko, ani na jego udawaną troskliwość i wrócić do swego pokoju. Ale tego nie zrobiła. Pozwoliła mu się posłusznie prowadzić, zupełnie jak przed laty, kiedy poszłaby za nim nawet do piekła, gdyby ją tylko poprosił.

- Nie zapytałaś, dlaczego ja też nie mogłem zasnąć odezwał się Ben, kiedy weszli do kuchni, w której było ciepło i przytulnie. - Nie uważasz, że wymagałyby tego zwykła uprzejmość?

Ironia w jego głosie dotknęła ją do żywego. To, co ich dzieliło, uniemożliwiało normalną, uprzejmą rozmowę. Przypomniała sobie jednak, że Ben jeszcze jako chłopak, mimo swojej pozornej dzikości, zawsze zachowywał się uprzejmie i unikał ranienia cudzych uczuć.

Tak jej się w każdym razie wydawało. Do czasu...

Caroline nic nie odpowiedziała, przyglądała się tylko, jak Ben nalewa mleko do garnuszka, sięga po dwa kubki i butelkę brandy. Świetnie wiedziała, że powinna natychmiast stąd wyjść i przerwać tę niepokojąco intymną scenę, ale

bliskość Bena działała na nią jak magnes i nie była w stanie się ruszyć.

- Więc sam ci powiem, skoro nie masz zamiaru zapytać. Nie dawała mi zasnąć myśl, że śpimy pod jednym dachem. Poszedłem więc do biblioteki, żeby wziąć coś do czytania. Idąc korytarzem, zobaczyłem smugę światła pod drzwiami do jadalni, więc wszedłem do środka... Tak, to się okazało trudniejsze, niż myślałem.

Co właściwie okazało się trudniejsze, niż myślał? Czy jej obecność w tym domu? Czy dokuczały mu wyrzuty sumienia? Dlaczego nie powiedział tego jaśniej? Zawsze wyrażał się jasno, mówił to, co myślał i czuł. Mówił, że jej pragnie.

No cóż, niedługo to trwało, pomyślała z żalem. Zaliczył ją, podobnie jak wiele innych dziewcząt. Ją, córkę miejscowego dziedzica. Musiał pękać ze śmiechu na myśl o jej ojcu, który potraktował go jak gówniarza, przekupując go, aby tylko ją zostawił w spokoju.

Bardzo się zmienił od tamtego czasu, sprawiał wrażenie zupełnie wyczerpanego z uczuć. Od czasu do czasu iskierka gniewu w oczach... i nic więcej.

Gdy Ben nalewał mleko do kubków, Caroline zdecydowała się zagadnąć go o to, co nie dawało jej spokoju od chwili przyjazdu.

- Chciałabym wiedzieć, co masz zamiar zrobić z tym domem?

- Aha - odparł z uśmiechem. - Zastanawiałem się, kiedy ciekawość weźmie górę i zdejmiesz na chwilę tę maskę powściągliwości, którą założyłaś specjalnie dla mnie. - Mówiąc to wziął do ręki dymiące kubki. - Proponuję,

żebyśmy to wypili w wygodnych fotelach w bibliotece. Przy okazji powiem ci, co zamierzam począć z Langley Hayes. A ty z kolei może mi wyjaśnisz, dlaczego rozpadł się twój związek z paniczem Jeremym Curtisem, bo tak się on chyba nazywa, jeśli dobrze pamiętam. W twoje osiemnaste urodziny mieliście świętować zaręczyny. Był przecież świetną partią dla jedynej córki zubożałego wiejskiego dziedzica. Więc co nie wypaliło? Może ktoś mu doniósł, że ochoczo figlujesz z kimś na boku i Curtis wycofał się? Musiałaś być zrozpaczona, pamiętam, jak ci zależało, żeby utrzymać nasz związek w tajemnicy.

RS

ROZDZIAŁ PIĄTY

Caroline nie posiadała się z oburzenia. Jak on mógł coś takiego powiedzieć! Świetnie wiedział, dlaczego musieli spotykać się po kryjomu. Miał okazję poznać jej ojca. I jak śmiał sugerować, że zależało jej tylko na seksie!

Gdy weszli do biblioteki, niewielkiego pokoju pełnego regałów z książkami, w którym wciąż jeszcze stały stare, zniszczone, kryte skórą kanapki i fotele, Ben postawił na niskim stoliku oba kubki i pochylił się, żeby włączyć elektryczny kominek.

Gdyby pozwolił sobie na taką uwłaczającą uwagę dwanaście lat temu, natychmiast ostro by zareagowała. Dziś jednak była o wiele starsza i bardziej opanowana.

Jego obraźliwe słowa potraktowała więc z pogardą, na jaką zasługiwały, powstrzymując się od komentarza, odniosła się natomiast do tego, co powiedział o jej planowanych przed laty zaręczynach.

- Ani mi się śniło wychodzić za Jeremy'ego. To był pomysł naszych ojców - wycedziła, z trudem panując nad sobą.

- Doprawdy? Zaaranżowano zaręczyny, a jedna ze stron w ogóle o tym nie wiedziała?

Najwyraźniej nie wierzył jej. Caroline podniosła do

ust kubek z mlekiem i kiedy pociągnęła pierwszy łyk, zorientowała się, że Ben nie pożałował brandy. Gorący napój pozwolił jej jednak trochę się uspokoić. Dziwne, ale chciała, by Ben jej uwierzył, chociaż nie powinna się nim przejmować. Pociągnęła jeszcze jeden łyk i odezwała się:

- Nasi ojcowie studiowali razem w Oksfordzie i od tego czasu utrzymywali dość bliskie stosunki. Curtisowie mieszkali zaledwie trzydzieści kilometrów od nas. Mój ojciec był ojcem chrzestnym Jeremy'ego. Często spędzałam u nich ferie szkolne. Lady Curtis uważała, że powinna mi matkować, a ojciec był zadowolony, kiedy muszę nie kręciłam pod nogami. Potem, kiedy miałam trzynaście lat i Lady Curtis zabiła się, spadając z konia, przestałam ich odwiedzać. Ale nadal widywaliśmy Jeremy'ego i jego ojca, to były właściwie nasze jedyne kontakty towarzyskie. Ojciec zawsze chciał, żebym poślubiła syna jego przyjaciela.

Caroline wzdrygnęła się lekko, gdy ożyły w niej wspomnienia sprzed lat. Tylko wychodząc za Jeremy'ego, dziedzica pokaźnej fortuny, mogłaby zadowolić swego ojca.

- Czy ten nieszczęśnik był w tobie zakochany?
Ben nie miał prawa o to pytać, a poza tym Caroline nie umiałaby mu odpowiedzieć. To prawda, że przyłapała Jeremy'ego, jak spoglądał na nią łakomie i że kilka razy usiłował ją niezręcznie pocałować. Ale chyba jej nie kochał, może raczej pożądał, a poza tym uważał, że powinien spełnić wolę ich ojców. Co tu dużo mówić, był człowiekiem o chwiejnym charakterze.

W odpowiedzi Caroline wzruszyła tylko ramionami, Ben natomiast rzucił przez zęby, z przyganą w głosie:

- No tak, powinienem wiedzieć, że masz serce z kamienia! - Po chwili opanował się i powiedział:

- Widocznie trochę za późno napisałaś do mnie list, w którym oznajmiłaś, że rezygnujesz z moich usług. Zanim to się stało, Jeremy pewnie się dowiedział, że zabawiasz się z kimś po kryjomu i do zaręczyn nie doszło. Wyobrażam sobie, jak się czuł. A ty - mówiąc to Ben zbliżył do niej pałającą gniewem twarz - umiesz tylko wzruszać ramionami!

Caroline ogarnął gniew. Jak on śmie się tak zachowywać! Odstawiła pusty kubek na wyblakły perski dywan, z dumnie podniesioną głową zerwała się z fotela i zareplikowała ostro:

- Próbujesz odwrócić kota ogonem i mnie obciążyć winą za to, co się stało, bo sam czujesz się winny - to znany numer, prawda?

Ben postąpił krok w jej stronę. Oczy mu płonęły, a na ustach pojawił się wymuszony uśmiezek. Sytuacja stała się napięta, ale Caroline nie miała zamiaru ustąpić pola. To on był wszystkiemu winien, a nie ona!

- Czyżby? - zapytał drwiąco. - Więc zaprzeczasz, że do mnie napisałaś pożegnalny list? Nie stać cię było nawet na tyle uprzejmości, by mi powiedzieć prawdę prosto w oczy!

Naturalnie, nie mogła zaprzeczyć!

- Jakże się miałam z tobą spotkać - odpaliła z po gardą - kiedy nagle gdzieś przepadłeś. Po tym, jak przyszedł do

ciebie mój ojciec i dał ci forszę, wzięłaś nogi za pas i tyle cię widziano, chyba pamiętasz?

Caroline jeszcze dziś pobrzmiwał w uszach sarkastyczny ton ojca:

„Możesz zapomnieć o swoim nieokrzesanym kochanku. Zaproponowałem mu łapówkę, byle tylko stąd zniknął, a on nie wahał się ani chwili. Już tu nie wróci, a jeśli tego jeszcze ci mało, spytaj Maggie Pope, kto jest ojcem jej bachora”.

- Więc cóż mogłam począć - ciągnęła, próbując opłamać wzburzenie i nie dopuścić do konfrontacji. - Napisałam ten list i zostawiłam u twojej matki. Czego więcej byś chciał?

Powinna wyjść stąd jak najszybciej, zanim powie coś, czego potem pożałuje. Nie chciała, żeby się domyślił, jak bardzo ją zraniła jego okrutna zdrada, której nie umiała przeboleć przez tyle lat.

Ben położył dłoń na jej ramieniu i utkwiał palący wzrok w jej oczach.

- Czego oczekiwałem? - powtórzył jej słowa zduszonym głosem. - No cóż, był czas, kiedy spełniałaś wszystkie moje najcudowniejsze oczekiwania, a nawet więcej. Pamiętasz?

Kiedy tak gładził ją delikatnie, poczuła, że nie zdoła ruszyć się z miejsca. Z wielką mocą powróciły wspomnienia dawnej bliskości, które tłumiała całymi latami i które teraz wydobyły się na powierzchnię.

- Czy pamiętasz, Caro? - powtórzył Ben ochryłym głosem. - Pamiętasz, że wystarczyło, byśmy na siebie spojrzeli? A potem spojrzenia nam nie wystarczały, mu-

sieliśmy się całować, dotykać, być tak bardzo blisko siebie?

- Przestań! - wykrzyknęła, jakby chciała nie dopuścić do siebie tej myśli. - Puść mnie, pozwól mi odejść.

- Zrobiłbym to, gdybyś naprawdę tego chciała - szepnął Ben. - Ale nie chcesz. Pragniesz mnie tak samo, jak kiedyś. Możesz zaprzeczać ile chcesz, ale twoje usta nie kłamią... - Mówiąc to powiódł delikatnie palcem po jej rozchylonych wargach, które czekały na jego pocałunki, a potem musnął jej szyję i zatrzymał dłoń na piersiach obleczonych jedynie cienkim jedwabiem. - One też nie kłamią...

Caroline z trudem chwytając oddech. Jego dotyk wywoływał w niej coraz silniejsze pragnienie, podobnie jak dawno, dawno temu. Nic się nie zmieniło... Jego bliskość odbierała jej wszelką siłę woli.

- A więc - mruknął, spoglądając spod gęstych rzęs na jej usta - widzę, że nie zaprzeczasz. To dobrze. Bardzo dobrze.

Gdy pochylił głowę, tak że poczuła na twarzy jego oddech, przymknęła oczy i wprost nie mogła się doczekać, aż ją pocałuje. Ben musnął wargami kącik jej ust, a ona natychmiast poddała się magii jego pocałunku.

Po chwili jednak niespodziewanie wypuścił ją z objęć i cofnął się o krok. Przyjrzał się jej chłodno i z satysfakcją ujrzał w jej fiołkowych oczach iskierki tęsknoty i pożądania.

- Czuję się tak, jakbym dziecku odebrał cukierka - rzucił cierpko. - No cóż, pierwszą rundę wygrałem, Caro. A teraz - wskazał głową drzwi i dodał obojętnym głosem - lepiej

idź się położyć. Przyda ci się kilka godzin snu. Kiedy miałaś siedemnaście lat, mogłaś nie spać całą noc, a i tak rano wyglądałaś zachwycająco. Ale to było dawno temu, prawda?

Chciał przez to powiedzieć, że rano będzie wyglądała jak szmata, że młodość ma już za sobą, że utraciła wszystko, czym budziła kiedyś jego nieposkromioną namiętność. Upokorzył ją tak bardzo, że zakreśliło się jej w głowie, a oczy zaszyły czerwoną mgłą. Omal się nie zatoczyła, wychodząc z biblioteki.

Rano ze zdziwieniem stwierdziła, że udało się jej jednak przespać kilka godzin, natomiast nie zdziwił jej wcale widok podkrążonych oczu. W ostrym słońcu wiosennego poranka jej twarz, zwykle perłowo biała, zdawała się szara i matowa.

Tak, to prawda, nie miała już siedemnastu lat. Jego drwiące słowa znów ukłuły ją w serce. Miała dwadzieścia dziewięć lat i nie powinna była pozwolić, by taki nicpoń jak Ben Dexter bez najmniejszego wysiłku wzbudził w niej tak silne pragnienie. Przecież o mały włos nie błagała go, by się z nią kochał!

Na myśl o tym zrobiło się jej gorąco ze wstydu. Przycisnęła ręce do skroni i usiłowała zebrać myśli. No więc dobrze, znów zachowała się jak idiotka, jak łatwowierna pensjonarka.

Świetnie pamiętała, jak przed dwunasty lata, kiedy przyjechała do domu na wakacje, na ścieżce biegnącej przez pole pojawił się Ben, opalony, z rozwichrzonymi ciemnymi włosami i czarnymi oczami, które spoglądały

na nią uwodzicielsko. Od razu wtedy poczuła, że coś ją w nim pociąga.

- Więc przyjechałaś do domu na wakacje - skonstatował z uśmiechem, uważnie się jej przyglądając. Zauważyła, że z aprobatą patrzy na jej szczupłą sylwetkę w żółtej, bawełnianej sukience i długie do pasa czarne włosy. - Coś mi mówi, że to będzie wspaniałe lato - dodał.

Nigdy przedtem nie widziała go z tak bliska. Nie mogła od niego oderwać oczu. Wiedziała naturalnie, że Ben od kilku lat mieszka z matką w rozpadającym się domku nad strumieniem. Parę razy spotkała go we wsi, słyszała też różne plotki na jego temat. Ben słynął jako rozrabiaka i miał fatalną opinię w oczach miejscowych matron. Nic dziwnego, bo był z niego chłopak nie tylko zabójczo przystojny, ale również nieposkromiony i samowolny.

Cóż mogła począć, jak nie uśmiechnąć się do niego i nie przyjąć ręki, którą jej podał. I tak się to wszystko zaczęło...

No dobrze, pomyślała, co było, to było, zachowała się wczoraj jak kretynka, ale teraz trzeba podnieść głowę, uratować resztki dumy, skończyć pracę i wyjechać stąd jak najszybciej.

Poczuła się lepiej, kiedy wzięła prysznic. I postanowiła nie przebierać się jednak w stare džinsy i bawełnianą koszulkę, pożyczone jej przez Lindę. Nie, dziś musi odzyskać utraconą godność i zaprezentować się atrakcyjnie i elegancko. Bena wprawdzie nie będzie w domu, ale Caroline chciała wyglądać ładnie dla samej siebie, aby poprawić sobie nastrój.

Włożyła świetnie skrojone lniane spodnie, które miała na sobie poprzedniego dnia w restauracji, do tego perłową jedwabną bluzkę i wąski jasnobrązowy pasek, który podkreślał jej cienką talię. Wyjątkowo wiele uwagi poświęciła makijażowi, który dyskretnie tuszował ślady marnie przespanej nocy. Włosy upięła ciasno w węzeł na karku.

W kuchni zastała Lindę, która siedziała przy stole i coś pisała.

- O, jak dobrze, że jesteś - powitała ją gospodyni, wstając z uśmiechem na jej widok. - Właśnie miałam zostawić ci kartkę. W lodówce jest to i owo na zimno, a w szafkach znajdziesz mnóstwo puszek. Wybieraj, co tylko zechcesz. Szef pewnie też coś przetrąci po powrocie. Niedawno wyjechał do Shrewsbury. Ale słuchaj, chyba nie zamierzasz w tym stroju porządkować strychu? Czy dzinsy i bluzka nie pasują?

- Na pewno pasują - odparła Caroline, biorąc do ręki dzbanek ze świeżo zaparzoną kawą. - Pomyślałam tylko, że dzisiaj odpuszczę sobie strych i zacznę od pierwszego piętra. Napijesz się ze mną kawy?

- Właściwie powinnam już jechać, ale te dziesięć minut mnie nie zbawi - zgodziła się Linda i usiadła znów przy stole. - Powiedz mi, jak ty to robisz, że zawsze tak świetnie się prezentujesz? Z tym się chyba człowiek rodzi. Ja wyglądam szkaradnie, cokolwiek bym na siebie nie włożyła!

- Z pewnością tak nie jest - zaprotestowała Caroline, podając Lindzie filiżankę z kawą, dzbanuszek z mlekiem

i cukierniczkę. Było jej trochę głupio, bo gospodyni najwyraźniej chciała pogadać o ciuchach, ale Caroline miała inne plany.

Zeszłego wieczoru korciło ją, żeby zapytać Bena, jakie ma zamiary co do Langley Hayes, ale nie miała okazji. Dziś, po tym, co się wydarzyło w bibliotece, postanowiła za wszelką cenę unikać jego towarzystwa. Zanim więc Linda zdążyła się odezwać, sama poruszyła interesujący ją temat.

- Lindo, zauważyłam, że po remoncie dom wygląda tak, jakby miał jakieś konkretne przeznaczenie. Wszystko jest pięknie odnowione, czystutkie i wygodne, ale urządzone raczej funkcjonalnie niż komfortowo. Czy znasz zamysły pana Dextera?

- Ach, więc jeszcze ci nie powiedział? - Linda wypła łyk kawy. - No tak, a tobie nie wypadało go pytać. Wiem, że ustanowił fundusz powierniczy, wpłacił ogromną sumę z własnej kieszeni, a potem dochody z terenów golfowych i ośrodka rozrywki mają pomóc w utrzymaniu całości, opłaceniu personelu i tak dalej. Ma to być dom dla dzieci z zaniedbanych, ubogich dzielnic wielkomiejskich, które będą tu mogły spędzać weekendy i wakacje. To wspaniały pomysł. Dzieci będą miały do wyboru różne atrakcje w domu i poza nim: pracę na fermie hodowlanej i w ogrodzie warzywnym, jazdę konno, przejażdżki łodzią, wędkowanie. Dzieci, które tu przyjadą, przekonają się na własne oczy, że w życiu można robić coś więcej, niż tylko wystawać na rogach ulic, rozrabiać i popadać w tarapaty.

Jeszcze długo po odejście Lindy Caroline nie mogła pozbiierać myśli. To, co usłyszała, zupełnie nie przystawało do tego obrazu Bena Dextera, jaki sobie wyrobiła: uważała go dotąd za aroganckiego, egoistycznego oszusta. Utwierdziła się jeszcze w tym mniemaniu poprzedniego wieczoru, kiedy z satysfakcją oświadczył, że wygrał z nią pierwszą rundę, tak, jakby ją tu sprowadził po to, by ją pokonać w jakimś meczu. Czy możliwe, że źle go oceniała?

No, dość tych rozważań, pomyślała i energicznie wstała od stołu. Trzeba skończyć wreszcie tę robotę i przestać zawracać sobie głowę mężczyzną, którego z pewnością obchodziła tyle, co zeszłoroczny śnieg.

Ruszyła po schodach na górę, do dawnego pokoju ojca. Ciężkie wiktoriańskie szafy ubraniowe były puste, podobnie jak potężnych rozmiarów komoda. Zapewne wszystko uprzątnęła już stąd Dorothy Skeet. Został tylko jeden cenny mebel, wspaniałe łóże z połączanego drewna z baldachimem, które ojciec dzielił czasami ze swoją gospodynią. Na ten widok wzruszenie ścisnęło ją za gardło.

Zajrzała też do innych pokoi, nieużywanych za życia jej ojca. Dziś były skromnie, ale ładnie urządzone, gotowe na przyjęcie młodocianych gości. Ben zainwestował zapewne w to charytatywne przedsięwzięcie znaczną część osobistego majątku. Ciekawe, dlaczego to uczynił? Czy dlatego, że pamiętał własne dzieciństwo, które upłynęło pod znakiem ubóstwa?

Jane Dexter z trudem utrzymywała siebie i syna ze skromnego zasiłku. Przez jakiś czas próbowała uprawiać i sprzedawać warzywa i owoce, ale mieszkańcy wioski

nie lubili tej wiecznie ponurej kobiety o surowym wej-
rzeniu, ani jej niesfornego syna, i nie chcieli niczego od
niej kupować. Ktoś zagroził nawet, że o jej żalonych wy-
siłkach powiadomi biuro opieki społecznej.

Nikt nie wiedział, dlaczego właściwie Dexterowie po-
jawili się w tej okolicy. Ben nigdy nie opowiadał o swojej
przeszłości, mimo że tego pamiętnego lata stali się sobie
tak bliscy.

Caroline musiała przyznać, że go podziwia. Sam osią-
gnął w życiu niebywały sukces zawodowy i materialny, ale
zarazem pamiętał o dzieciach, które, podobnie jak on, za-
znały ubóstwa, i okazywał im realną pomoc. Czuła jedno-
cześnie, że nie może sobie pozwolić na zmianę zdania o
nim, gdyż wówczas łatwo mogłaby znów ulec jego uro-
kowi. Przekonała się o tym poprzedniego wieczoru.

Specjalnie więc przywołała wspomnienie o dziecku, któ-
rego był ojcem i które bez żalu porzucił. Ojciec Caroline
powiedział jej, że Maggie Pope źle się prowadzi i
ostrzegł ją, by się z nią nie zadawała, bo inaczej zamknie
ją na klucz w pokoju do końca wakacji. Mimo to, jedne-
go z tych ostatnich, burzliwych dni, kazał jej odwiedzić
Maggie.

- Spytaj Maggie Pope, kto jest ojcem jej bękarta.
Wiem, że to Dexter. Nie wierzysz mi? No to sama ją za-
pytaj!

Dziewczynka, która skończyła właśnie dwa miesiące,
miała ciemne, jedwabiste włoski, dokładnie takie, jak
Ben...

- No pewnie, że to jego dziecko - oznajmiła bez wa-

hania Maggie. - Ale on nawet nie chce o tym słyszeć. Faceci już tacy są. Kiedy się nami znudzą, albo wpadnie im w oko ktoś inny, biorą nogi za pas. Zero poczucia odpowiedzialności!

Caroline przymknęła na chwilę oczy, aby odsunąć te wspomnienia i skupić się na pracy. Na końcu korytarza, tam, gdzie stare skrzydło z czasów Tudorów łączyło się główną częścią domu, stał kiedyś piękny, mahoniowy kufer, misternie rzeźbiony. Gdy tam dotarła, okazało się jednak, że i on zniknął, podobnie jak większość innych, cennych mebli. Zirykowało ją to i pomyślała, że jej usługi są w tym domu zupełnie zbędne. Nie trzeba specjalisty, żeby się zorientować, co tu pozostało cennego. Niewiele tego było. Dexter ściągnął ją tu zapewne w innym celu.

Ale w jakim?

Zatopiona w myślach, odsunęła zasuwę zamykającą dębowe drzwi prowadzące do starego skrzydła. Gdy była dzieckiem, nie pozwalano jej tu wchodzić. Te pokoje, położone nad pomieszczeniami kuchennymi, „pełne były pajaków i ohydnych robali, a deski na podłodze zupełnie przegniły” - jak ją niegdyś ostrzegała Dorothy Skeet. Dopiero kiedy skończyła osiem lat, zdobyła się na odwagę, żeby tam zajrzeć. I szybko się wycofała.

Dziś to miejsce było zupełnie odmienione. Nowe, dębowe belki u sufitu zastąpiły stare, poczerniałe i zmurszałe, przez lśniące czystością szyby wnikało słońce, ożywiając mieniające się kolorami perskie dywany na pięknie ułożonym i nawoskowanym parkiecie. Caroline spostrzegła od razu, że znalazła się w salonie prywatnego apartamentu, który Ben zarezerwował dla siebie. W tym

pięknie urządzonym pokoju uwagę przykuwał umiejętnie wyeksponowany obraz. „Pierwsza miłość”.

Na jego widok serce zamarło jej w piersi. Gdyby Michael nie rozpoznał tego dawno zaginionego dzieła Lassoona, a Ben nie postanowił go nabyć, jej życie toczyłoby się dalej bez większych wstrząsów i emocji, a dawne, bolesne tęsknoty pozostałyby w ukryciu, gdyż Ben i ona nie mieliby okazji znowu się spotkać.

Z zapartym tchem przyglądała się portretowi, który tak żywo przypominał jej odbicie w lustrze. I nie mogła pojąć, jak to możliwe, żeby te cudowne, szczęśliwe miesiące, które kiedyś przeżyła, i ten okrutny zawód, jaki ją potem spotkał, dziś ożyły w niej z taką siłą.

- Ciekaw jestem, co o tym sądzisz? - dobiegł ją aksamitny, cichy głos.

Caroline, wytrącona niespodziewanie z rozmyślań, wzdrygnęła się, odwróciła głowę i skierowała na niego ogromne, fioletowe oczy lśniące w perłowej bieli twarzy.

Ben prezentował się wyjątkowo atrakcyjnie w świetnie skrojonym, granatowym garniturze, śnieżnobiałej koszuli i eleganckim, perłowszarym krawacie. Caroline, która znalazła się w starym skrzydle, nie mogła usłyszeć podjeżdżającego pod dom samochodu. Skoro Ben ją tu zaskoczył, chcąc nie chcąc musiała odpowiedzieć na jego pytanie.

- To twój obraz i możesz go powiesić, gdzie ci się podoba. Mam nadzieję, że jest należycie zabezpieczony.

- Bardzo prozaiczna odpowiedź, panno Harvey - zauważył Ben. Uśmiechał się lekko, lecz jego oczy pozostały zimne. - Ale może spróbujemy spojrzeć na to

w nieco szerszym kontekście? Czy nie uważasz, że ten portret powinien znajdować się właśnie tutaj, że tu jest jego miejsce, właśnie w tym domu?

To pytanie zirytowało ją, podobnie jak widoczne rozbawienie Bena. Nie zamierzała pozwolić, by bawił się jej kosztem.

- Bzdura - wypaliła ostro. - Sądząc z twoich słów można by pomyśleć, że na ścianie wisi mój portret, a przecież świetnie wiesz, że tak nie jest. A teraz wybacz, muszę ...

- Masz rację, że nie ty byłaś modelką, ale dla mnie to bez znaczenia - wtrącił Ben. - Podobieństwo jest doprawdy niezwykle. Kiedy przeczytałem w gazecie, że odnaleziono ten obraz i zobaczyłem jego fotografię, wiedziałem od razu, że muszę go mieć i że go tu powieszę. Także po to, by mi przypominał, że pozory często mylą. Modelka wygląda zupełnie jak ty, ale nie jest tobą. Podobnie jak ty, kiedy cię znałem, nie byłaś taka, za jaką cię uważałem.

- Przyganiał kociół garnkowi - odpaliła Caroline. Była świadoma, że Ben chowa do niej głęboką urazę. Czy tak bardzo miał jej za złe pożegnalny list sprzed lat? Czy nie mógł się pogodzić z tym, że wreszcie on sam został porzucony?

Nie miała ochoty dalej tego rozważać. Poczula, że musi stąd wyjść i zakończyć tę rozmowę. Natychmiast.

- Panie Dexter - odezwała się lodowato. - Mój dalszy pobyt tutaj jest bezcelowy. Pan nie potrzebował mojej fachowej ekspertyzy. Widzę, że pozbył się pan już większości bezwartościowych mebli i zachował te nieliczne,

które są cenne. Przedstawię panu na piśmie ich wycenę, firmowaną przez Galerię Weinberga.

- Będę bardzo zobowiązany - odparł ugrzecznionym tonem, unosząc lekko brew. Cofnął się o krok i stanął w drzwiach. Gdyby chciała przez nie wyjść, musiałaby się precyzyjnie tuż obok niego. Blisko. Za blisko. Po prostu nie czuła się na siłach. Niezupełnie panowała nad sobą nawet wtedy, gdy przebywała z nim w jednym pokoju.

- Słusznie zauważyłaś, Caro, rzeczywiście nie potrzebuję twojej fachowej ekspertyzy. Ale mam za to inne potrzeby, i zapewniam cię, że spełnisz je wszystkie, co do joty. Dopiero wtedy pozwolę ci stąd wyjechać.

Rzucił jej przeciągłe spojrzenie i dodał:

- Proponuję, byśmy przestali bawić się w ciuciubabkę i zabrali się do dzieła.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Niby dlaczego miałabym się na to zgodzić? - zapytała Caroline wyniośle, udając przed nim obojętność, mimo że serce biło jej jak szalone i krew pulsowała w skroniach.

- Bo jesteś mi to winna - odparł, patrząc jej prosto w oczy. - Za te dwanaście zmarnowanych lat.

Rozum podpowiadał jej, aby natychmiast stąd wyszła, spakowała walizkę i zadzwoniła po taksówkę. Może kapryśny los zrządził, pomyślała, że znowu się spotkali, bo najwyższy czas zamknąć raz na zawsze tę sprawę. Teraz Ben nie może jej tu siłą zatrzymać. Ale serce podpowiadało jej coś dokładnie przeciwnego i kazało pozostać.

Nie potrafiła stąd odejść, zrezygnować z tej ostatniej konfrontacji, jeśli do niej właśnie wszystko zmierzało. Ben tymczasem stanął przed nią, spojrzął na nią z ukosa, po czym zdjął marynarkę, którą rzucił niedbale na fotel i rozluźnił węzeł krawata. Caroline poczuła tuż przy sobie ciepło jego ciała, a za chwilę jego wargi spoczęły na jej ustach. Przymknęła oczy i, jak przed laty, dała się porwać gorącej fali, która zaczęła ogarniać ją całą.

Kiedy Ben wyjął jej z włosów szpilkę, podtrzymującą węzeł na karku, kruczoczarny lśniący obłok spłynął na jej ramiona.

- Dawniej nosiłaś dłuższe włosy - mruknął zduszonym głosem. - Przesłaniały ci piersi i musiałem rozgarniać te czarne fale, żeby móc cię całować. Wiedziałaś, jak mnie kusić, Caro, pamiętasz?

Jakże mogła zapomnieć? Wspomnienia ich cudownej, idealnej bliskości pozostały na zawsze wyryte w jej pamięci, chociaż robiła wszystko, by do nich nie wracać. Dlatego nie pociągały jej intymne związki z innymi mężczyznami. Ciekawe, czy jego odczucia były podobne?

Powoli Ben zaczął rozpinać perłowe guziczki jej bluzki, a potem pochylił głowę i całował jej piersi pokryte cieniutką, kremową koronką stanika.

- Dwanaście lat, to bardzo długo, Caro - szepnął, unosząc na chwilę głowę i kierując na nią spojrzenie czarnych oczu, w których dostrzegła błysk goryczy. - Tak długiego czasu nie sposób puścić w niepamięć. Przez te wszystkie lata marzyłem o tym, czego pragnie większość mężczyzn. O żonie, o rodzinie. Pragnąłem dobrego, trwałego związku, ale nie potrafiłem oddać serca innej kobiecie, bo żadna ani trochę nie dorastała do ciebie.

Mówiąc to rozpiął jej pasek i suwak od spodni. Wiedziała, że nie powinna mu na to pozwolić, ale nie umiała się zdobyć na gest protestu.

- Kupiłeś ten obraz... - szepnęła, z trudem dobywając głos.

- Aby mi przypominał, że pozory często mylą - powtórzył Ben. Kiedy ujrzał w jej pociemniałych, fiołkowych oczach ognik protestu, położył palec na jej ustach i wtrącił:

- Proszę cię, nie mów nic. Daj się porwać chwili.

Gdy westchnęła cicho, na znak zgody, wziął ją na ręce i zaniósł do sąsiadującej z salonem sypialni. Przez otwarte okna wpadało ciepłe, pachnące powojem wiosenne powietrze. Otworzywszy oczy Caroline ujrzała, że Ben kieruje się w stronę wielkiego, dębowego łóża.

Położył ją na miękkiej, bładoniebieskiej kołdrze i oswobodził z resztek koronkowej bielizny.

- Wyglądasz tak pięknie jak zawsze - odezwał się z podziwem, pieszcząc wzrokiem jej nagość. - Czas obszedł się z tobą łagodnie, Caro.

Gdy on sam zrzucił z siebie koszulę i spodnie, przekonała się, że dojrzał i bardzo zmęźniał. Pod zdrową, oliwkową skórą nie miał ani grama tłuszczu, tylko same mięśnie. Caroline czekała z utęsknieniem, aż ją weźmie w ramiona, aż poczuje dotyk jego nagiego ciała i usłyszy słowa, które ją zawsze zniewalały. Serce waliło jej jak szalone. A on zwlekał. Wreszcie, kiedy wyciągnęła do niego ręce z niemą prośbą, pochylił się nad nią i wyszeptał:

- Tak, wiem, że mnie pragniesz. Czuję to. Ja też nie mogę się doczekać. I muszę wreszcie przekonać samego siebie, że się co do ciebie myliłem. Że w gruncie rzeczy niczym się nie różnisz od innych kobiet.

Caroline sama nie wiedziała, kiedy zasnęła. Burza miłości, jaką przeżyli, w połączeniu z kiepsko przespaną nocą, zupełnie ją wyczerpała. Otworzyła oczy i z trudem próbowała się rozbudzić. Czowała się mile rozleniwiona pod ciepłą kołdrą. Za oknem zapadał zmierzch. Była w pokoju sama.

Mogła się spodziewać, że Ben zostawi ją samą. W jej oczach wezbrały łzy, a gardło ścisnęło się z żalu. Po prostu ją wykorzystał, z pełnym wyrachowaniem, aby móc wreszcie przestać o niej myśleć. Takie to proste i takie okrutne. Chciał ją mieć z głowy raz na zawsze.

Gdy usłyszała, co jej powiedział, powinna była po prostu dać mu w twarz i odejść. Nie zrobiła tego, bo za bardzo pragnęła z nim być. To pragnienie było silniejsze od niej. Obydwoje fatalnie się zachowali: on cynicznie ją wykorzystał, a ona mu na to pozwoliła.

Ogarnął ją gniew, irytacja na samą siebie. Grzbietem dłoni otarła łzy, wstała szybko z łóżka, ubrała się i postanowiła wyjść na świeże powietrze. Wyjść z tego domu, w którym nigdy w życiu nie była szczęśliwa.

Było już za późno, by mogła sobie zorganizować powrót do Londynu, poza tym czuła się wyczerpana psychicznie, niezdolna do działania. Jutro z pewnością będzie jej łatwiej. Dziś wieczorem spakuje się, nazajutrz wczesnym rankiem pojedzie taksówką do Shrewsbury, a stamtąd pociągiem wróci do Londynu. Do swego dawnego życia.

Ben z pewnością nie poskarży się jej szefowi, pomyślała cynicznie. Zaspokoił potrzeby, o których mówił i będzie szczęśliwy, kiedy ona stąd wyjedzie.

Świeże powietrze okazało się chłodniejsze, niż sądziła, ale wolała nie wracać po żakiet do domu, w którym mogłaby się natknąć na Bena.

Niewiele myśląc, przecięła najpierw otoczony murem wazownik, a potem, przez drewnianą furtkę wyszła na teren parku. Wkrótce poczuła pod stopami miękką trawę

i znalazła się pod baldachimem drzew porastających brzeg strumienia.

Szum wody ukoił nieco jej nerwy, podobnie jak szelest paproci, o które się ocierała, oraz dobiegające z dala pohukiwanie sowy. Po chwili wyszła na porośniętą trawą polaną. Znad strumienia unosiła się mgiełka, w której rozpływały się ciemne konary drzew.

I wtedy go ujrzała. Serce stanęło jej w gardle. Za późno zdała sobie sprawę, dokąd zawędrowała. Tak często tu kiedyś przychodziła, w to sekretne, magiczne miejsce. Spotykali się tutaj w tajemnicy przed całym światem, tutaj kochali się, marzyli i spełniali swoje marzenia. Marzenia, które przerodziły się wreszcie w koszmar zdrady i oszustwa.

Jak mogła być tak nieostrożna? I, co ważniejsze, dlaczego on tu w ogóle przyszedł?

Ben stał tyłem do niej, nad samym brzegiem strumienia, wpatrzony zapewne w ciemną wodę obmywającą kamienie. Caroline odwróciła się szybko, chcąc, niezauważona, odejść drogą, którą przyszła, ale on musiał posłyszeć jej kroki.

- Caroline! - zawołał.

Znieruchomiała na dźwięk jego głosu. Wiedziała, że Ben się do niej zbliża, ale nie mogła się ruszyć, czuła, że nogi wrosły jej w ziemię.

- Nie odchódź - poprosił cicho. Sprawiał wrażenie człowieka, który przeżył coś głębokiego, co go wewnętrznie osłabiło. - Muszę z tobą porozmawiać.

Caroline nie chciała jednak go wysłuchać. Za bardzo ją upokorzył i zawstydził.

- Wracam do domu - powiedziała głucho, ratując resztki godności. - Zmarzłam i robi się ciemno.

- Poczekaj, pójde z tobą - oznajmił stanowczo i zarzucił jej na ramiona swoją kurtkę z miękkiej skóry.

W tym momencie Caroline nagle zrozumiała, że cokolwiek kiedyś się wydarzyło, ona nadal go kocha. Była wstrząśnięta tym odkryciem. Nie tylko pragnęła jego fizycznej bliskości, jak parę godzin temu, ale darzyła go uczuciem. Inaczej niż on, mimo że wiele razy zapewniał ją kiedyś o swojej miłości. Cóż, po prostu lubił się z nią kochać i tyle.

Dzisiaj sam przyznał, że pamięć o tych chwilach burzliwej namiętności nie pozwalała mu związać się na stałe z inną kobietą.

Rozumiała to, a nawet mu współczuła. Wspomnienia bywają niebezpieczne i potrafią rzutować na teraźniejszość. Więc wykorzystał ją dzisiaj, bo chciał się upewnić, że w gruncie rzeczy Caroline niczym się nie różni od innych kobiet.

I dziś zdołał się od niej uwolnić. Teraz będzie mógł spełnić swoje marzenia - ożenić się, założyć rodzinę, mieć dzieci.

Po chwili wyszli spod drzew i w świetle gwiazd jego pomocna dłoń stała się niepotrzebna. Niestety, pomyślała Caroline, bo tak bezpiecznie się czuła, kiedy owa dłoń spoczywała na jej ramieniu. Czekala też na to, aż Ben się odezwie, przecież powiedział, że chce z nią porozmawiać. Na razie jednak milczał.

Zamierzała wyjechać wczesnym rankiem, więc kto wie, czy nie będzie to ich ostateczne pożegnanie. Na pew-

no nie warto teraz wyrzucać mu tego, jak ją potraktował, zarówno kiedyś, jak i teraz, kiedy ich drogi znów się skrzyżowały.

Poza tym, nikt przecież nie jest do końca zły, nikogo nie wolno kategorycznie potępiać. Gdy zbliżali się do domu, Caroline postanowiła, że musi mu powiedzieć, jak bardzo go podziwia za dobro, które w nim odkryła.

Kiedy weszli do holu, poczekała, aż zamknie za nimi drzwi i zapali światło, i wtedy odezwała się:

- Dowiedziałam się od Lindy, co zamierzasz zrobić z tym domem. Że chcesz pomagać dzieciom z biednych domów. Uważam, że robisz coś wspaniałego...

- Doprawdy? - odrzekł Ben chłodno. Z wyrazu jego twarzy mogła wyczytać, że nie interesują go komplementy, w każdym razie nie z jej ust. - To może zakrawać na drwinę - ciągnął, uniósłszy kpiąco brew. - Uratowałem twój szacowny dom rodzinny od kompletnej ruiny po to tylko, aby mogły się tu zagnieździć jakieś małe nicponie. Twój ojczulek przewróciłby się w grobie, gdyby wiedział, w jakiej sytuacji znalazła się teraz jego ukochana córeczka. Ludzie ze wsi nazywali cię księżniczką Caroline, nieprawda? Zamkniętą w wieży z kości słoniowej, zbyt dumną, by się z nimi zadawać.

Gorycz i wrogość ledwie skryte w jego słowach omal nie złamały jej serca. Wiedziała zarazem, że nigdy nie zdoła pokochać innego mężczyzny tak jak Bena, mimo wszystkich jego niedoskonałości.

- Oczywiście, że wiem - odparła. - Mnie też bardzo to bolało! Jeśli już mowa o moim ojcu, to nie wiesz pewnie, że zakazał mi wstępu do tego domu. Wydziedziczył

mnie i wyrzucił stąd, kiedy stanęłam okoniem i odmówiłam poślubienia Jeremy'ego.

Ben zmarszczył brwi i zaczerpnął głęboko powietrza.

- Doprawdy? Przecież twój ojciec powiedział mi, że wasze zaręczyny zostaną ogłoszone w dniu twoich osiemnastych urodzin, czyli w ciągu zaledwie kilku tygodni, a ślub miał się odbyć wczesną wiosną następnego roku.

- Coś podobnego! - wykrzyknęła Caroline. Właściwie nie mogła winić za to ojca. Powiedział tylko to, co sam uważał za prawdę, a sądził, że uda mu się zmusić ją do posłuszeństwa. Mogła jednak mieć żal do Bena, że wziął za dobrą monetę te słowa i uznał, iż ona go po prostu wykorzystywała, świetnie wiedząc że wkrótce poślubi innego mężczyznę.

- Ciekawa jestem, kiedy doszło do tej rozmowy? - zapytała z goryczą. - Czy wtedy, gdy zaproponował ci pieniądze, bylebyś tylko zostawił mnie w spokoju i ulotnił się stąd raz na zawsze?

- Tak.

To krótkie „tak”, wypowiedziane bez żalu, wstrząsnęło nią. W swojej naiwności miała nadzieję, że Ben kategorycznie zaprzeczy, jakoby przyjął od jej ojca pieniądze. Chciała wierzyć, że jednak nie dopuścił się tak podłej i okrutnej zdrady i że jej ojciec kłamał.

Nagle poczuła się tak bardzo zmęczona i pusta w środku, że z trudem udało jej się zachować równowagę. Zsunęła z ramion kurtkę i podała mu, nie patrząc na niego. Teraz marzyła tylko o łóżku, o tym, żeby wreszcie zasnąć. Jutro rano z większym dystansem spojrzy na

ostatnie wydarzenia, które tak nią wstrząsnęły i jej życie powróci na dawny tor.

Kiedy niepewnym krokiem podchodziła do schodów, usłyszała za sobą jego głos.

- To, co się dziś stało, dla mnie też było wstrząsem, Caro - powiedział cichym, łagodnym głosem. - Chyba dopiero teraz zaczynam dochodzić do siebie. Proszę cię, nie odchodź. Wysłuchaj mnie. Pragnę, żebyś zapomniała o dawnych dziejach. Chcę cię prosić, żebyś została moją żoną.

RS

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Caroline szybko odwróciła się w jego stronę. Za szybko. Zakręciło się jej w głowie. Upadłaby, gdyby Ben jej nie podtrzymał.

Jego oświadczenia były jak grom z jasnego nieba. Wszystkiego by się spodziewała, tylko nie tego. Byłaby doprawdy szalona, gdyby je przyjęła.

Kiedyś największym marzeniem jej życia było poślubienie Bena, ale teraz, po tym, co się wydarzyło, i po tylu latach, w ogóle nie mogło być o tym mowy. Zadrżała nagle i ze wstydem poczuła, że po policzkach potoczyły się jej łzy i kapały na gors koszuli Bena.

- Nie płacz, proszę cię - szepnął uspokajająco i otarł jej palcami wilgotne policzki, zaglądając z niepokojem w twarz. - Nie powinienem był w ten sposób cię zaskakiwać. Zaczekaj z odpowiedzią, Caro. Będziesz potrzebowała czasu, żeby się nad tym zastanowić. Ja jestem w lepszej sytuacji, bo pomyślałem o tym już kilka godzin temu, kiedy zasnąłeś w moich ramionach.

Nachylił się, pocałował ją lekko w usta i z błyskiem w oczach szepnął:

- Myślę, że teraz powinniśmy coś zjeść, może wtedy obydwójce poczujemy się pewniej. Ja zajrzę do lodówki i do szafek, a ty tymczasem wybierz wino.

Caroline pociągnęła lekko nosem, westchnęła głęboko, odruchowo poprawiła włosy oraz kołnierzyk bluzki i wypaliła:

- Nie mogę za ciebie wyjść. Sam wiesz, że nie mogę.

Po co w ogóle z tym wyskoczyłeś?

Była się zupełnie zagubiona i wzburzona, a jego krótkie „Dlaczego?” niewiele jej pomogło. Odkąd przyjechała do Langley Hayes, nie potrafiła zapanować nad rzeczywistością, która wciąż ją zaskakiwała. Trzeba było coś z tym zrobić i to szybko.

- Dlatego - odpowiedziała spokojniejszym już głosem - że to, co do mnie czujesz, to zwykłe pożądanie, nie wspominając już o pogardzie. Na tym nie zbuduje się małżeństwa.

- Pogarda - powtórzył za nią cicho Ben. - Tak -przyznał.
- Jeszcze do niedawna wierzyłem, że zamierzałaś poślubić Curtisa dla jego majątku, romansując ze mną na boku. I teraz nie było mi łatwo przyznać, że myliłem się przez tyle lat. Widzisz, chciałem cię wtedy zapytać, czy to prawda, że wychodzisz za Curtisa, ale kiedy wróciłem do domu, zastałem ten list, w którym pisałaś, że wszystko między nami skończone i nie chcesz mnie już więcej widzieć. Pomyślałem, że twój list stawia po prostu kropkę nad i i że jest zgodny z tym, co powiedział mi twój ojciec.

Ben podszedł do niej bliżej i z żalem w głosie wspominał dalej:

- Musiałem tego dnia wyjechać, byłem umówiony.

Dopiero później przyszło mi do głowy, że powinienem był poinformować cię o swoich planach, wyjaśnić, dla-

czego czasami znikam na kilka dni, ale widzisz, nie byłem pewien, czy z tych planów coś wyjdzie. Pewnie to był błąd, ale wtedy bardzo chciałem móc pochwalić się tobie - i wszystkim - realnym sukcesem, a nie jakimiś gruszkami na wierzbie.

Od ponad roku razem z Jimem Maysem, moim kumplem z czasów, kiedy mieszkaliśmy jeszcze na północy, próbowaliśmy siłą w projektowaniu oprogramowania komputerowego. Spotykaliśmy się od czasu do czasu i omawialiśmy nasze pomysły. I właśnie tego dnia, po tym nieszczęsnym spotkaniu z twoim ojcem, zadzwonił do mnie Jim, kazał mi wszystko rzucić i natychmiast jechać do Londynu, bo znalazł faceta, który gotów był sfinansować nasze przedsięwzięcie i miał właśnie parę godzin na spotkanie z nami. Pojechałem więc, ale cały czas wierciłem się w fotelu, nie mogąc się doczekać powrotu. Chciałem koniecznie z tobą porozmawiać i dowiedzieć się prawdy z twoich ust.

Jednak zaraz po powrocie matka oddała mi twój list, w którym pisałaś, że zrywasz ze mną na zawsze. Od tej pory zmieniłem o tobie zdanie. Nie byłaś taka, za jaką cię uważałem. Dziś wolę wierzyć w twoją wersję wydarzeń, że twój ojciec wyrzucił cię z domu, bo nie zgodziłaś się wyjść za Curtisa. Więc zapomnijmy o tym, że był czas, kiedy tobą gardziłem, Caro. To już odległa przeszłość.

A że napisałaś do mnie ten list pożegnalny? No cóż, patrząc na to z dzisiejszej perspektywy, przypuszczam, że po prostu obleciał cię strach. Byłaś wtedy jeszcze bardzo młodziutka. Jeśli zaś idzie o pożądanie - zerknął na

nią z ukosa, a w jego czarnych oczach zapaliły się ogniki - to cóż w tym złego? Natura tak to już urządziła, że pożądanie zapewnia przetrwanie gatunku, więc nie róbmy i z tego problemu.

Muszę jednak uderzyć się w piersi i przyznać, że cię tutaj bezczelnie i podstępnie zwabiłem. Widzisz, chciałem samemu sobie udowodnić, że jesteś zupełnie zwykłą kobietą, taką, jak wszystkie inne, ale wpadłem we własne sidła, bo okazało się, że jesteś absolutnie niezwykła i że żadna nie może się z tobą równać. Razem stanowimy niezwykłą parę. Gdy jesteś blisko mnie, czuję w sobie życie, wielki głód - i wielkie spełnienie. Tego właśnie dowiodło dzisiejsze popołudnie. I myślę - dodał zduszonym, głosem. - nie, ja to wiem, że ty czułaś, to samo. Między nami nic się nie skończyło, Caro, trwało tylko w ukryciu przez te dwanaście długich lat, niczym nigdy niegasnący płomyk.

Jego słowa oszołomiły ją, zachwyciły, a jednocześnie przeraziły. Tak łatwo mogłaby zlekceważyć zdrowy rozsądek i ulec pragnieniu poślubienia ukochanego mężczyzny, cieszyć się tym związkiem chociażby przez jakiś czas, dopóki by się nie wypalił.

A stałoby się to szybko, tego była pewna. Jak mogłoby być inaczej, skoro Ben kierował się tylko pożądaniem i dawnymi wspomnieniami owego cudownego, pełnego magii lata, ona zaś kochała go, ale nie miała do niego zaufania?

Wyznał, że zaaranżował ich spotkanie, gdyż chciał się dowiedzieć, co się właściwie stało tamtego lata. To dobrze. Mimo to, postąpił nieuczciwie. Przyjął przecież od

jej ojca pieniądze pod warunkiem, że na zawsze zostawi ją w spokoju. Tak, nie było się nad czym zastanawiać. Caroline potrząsnęła głową i przerwała milczenie:

- Seks to jeszcze nie wszystko, choćby nie wiem jak fantastyczny. Chociaż muszę przyznać - mówiąc to uśmiechnęła się lekko - że po tym, co między nami było, także i mnie trudno było znaleźć partnera, który mógłby się z tobą równać. Ale główny problem w tym, że oszukałeś nas wszystkich - mego ojca, Maggie Pope, i mnie samą. Ludzie nie zmieniają się gruntownie. Zrozum, Ben, ja straciłam do ciebie zaufanie. Zawsze bym się bała, że kiedyś może się zdarzyć coś podobnego.

A to by ją zniszczyło. Całkowicie, ostatecznie, nieodwoalnie.

Czas uciekał, zegar w holu wybił dziewiątą. Caroline pomyślała, że powinna pójść się pakować i odpocząć przed jutrzejszą podróżą.

- O czym ty do diabła mówisz? - zapytał Ben, rozkładając bezradnie ręce.

Wtem rozległ się dzwonek do drzwi.

- Poczekaj - rzucił, i ruszył do drzwi. - Pozbędę się tych nieproszonych gości, kimkolwiek są, i może wreszcie mi powiesz, o co ci chodzi.

Tak, pomyślała Caroline, trzeba spróbować wyjaśnić pewne sprawy. Gdyby tylko Ben powiedział jej, że głęboko żałuje tego, jak potraktował kiedyś Maggie i że teraz wspiera moralnie i finansowo ją i swoją córeczkę, której się wyparł dawno temu...

Gdyby powiedział, że dwanaście lat temu miał szczerzy zamiar zwrócić jej ojcu pieniądze, że zmienił zdanie i po-

stanowił nie wyjeżdżać, bo nie potrafiłby się z nią rozstać...

W tej chwili jednak dalsza rozmowa była wykluczona. Ben otworzył właśnie szeroko drzwi i, jak zawsze uprzejmie, zapraszał kogoś do wejścia:

- Ależ nie, naturalnie że pani nie przeszkadza. Tak, zastała ją pani. Zapraszam do środka.

Do holu weszła nieśmiało Dorothy Skeet. Przez te lata bardzo utyła, a jej puszyste rudawe włosy posiwiały.

- Słyszałam o twoim przyjeździe, Caroline, ale nie wiedziałam, jak długo tu zabawisz. Wiem, że już późno, bałam się jednak, że jutro mogę cię nie zastać.

Caroline ze wzruszenia łzy zakręciły się w oczach. Świetnie pamiętała, że w domu ojca tylko Dorothy miała dla niej czasami dobre słowo.

- Może przejdziemy do kuchni? - zagadnął Ben. - Właśnie zamierzałem zrobić kolację, proszę, niech pani zostanie z nami.

- Ach nie, dziękuję, absolutnie nie mogę - wydusiła z siebie stremowana Dorothy i oblała się rumieńcem. -/resztą już jadłam. I w ogóle nie chciałam przeszkadzać, przyszłam tylko, żeby oddać Caroline osobiste rzeczy jej ojca - wyjaśniła i drżącymi palcami usiłowała otworzyć zameczek sporej torby.

Było oczywiste, że czuje się niezręcznie, a Caroline nie wiedziała, co powiedzieć, żeby ją ośmielić. W sukurs przyszedł jej Ben i ze zniewalającym uśmiechem zaproponował:

- Więc proszę chociaż usiąść z nami. Może napije się pani wina, albo kawy, i podzieli się z Caro i ze mną

miejscowymi ploteczkami. Z pewnością przez tyle lat wiele się ich nazbierało.

Caroline z podziwem spojrzała na Bena, który naprędce wymyślił to niewinne kłamstwo. Efekt był natychmiastowy. Dorothy, która zawsze uwielbiała plotkować, chętnie podreptała za nimi do kuchni i usiadła przy stole. Popijając gorące kakao, które podał jej Ben, wdała się w długie opowieści, bardziej lub mniej wiarygodne, o losach mieszkańców wsi. Caroline tymczasem, z niespodziewanym dla niej samej apetytem, zaatakowała przygotowaną przez Bena soczystą, grillowaną szynkę z pomidorami.

Gdy Dorothy podzieliła się z nimi wszystkimi nowinkami, wyjęła z torby zawiniątko, które wręczyła Caroline. Znajdował się w nim srebrny zegarek z dewizką, który pamiętała od zawsze, onyksową pieczęć, złoty sygnet jej dziadka i dwa wieczne pióra. To niewiele, pomyślała z bólem serca Caroline, jak na mężczyznę, który dożył prawie siedemdziesiątki... Nie pokazała jednak po sobie wzruszenia i po chwili złożyła zawiniątko w ręce Dorothy.

- Ojciec z pewnością życzyłby sobie, żeby te przedmioty zostały u ciebie - powiedziała łagodnie.

Wiedziała, że Dorothy kochała jej ojca, on zaś z pewnością ją lubił i czasami jej to okazywał. Widząc wahanie w oczach kobiety, Caroline zaczęła ją przekonywać.

- Ojciec bardzo cię cenił, byłeś mu bliższa niż ktokolwiek inny. Do mnie natomiast - w tym momencie głos jej się załamał - czuł wyraźną niechęć. Bez wątpienia wołałby, żebyś to ty zachowała te pamiątki. Ale mam też do

ciebie prośbę. Chciałabym bardzo się dowiedzieć, dlaczego ojciec czuł do mnie tak wielką niechęć, z trudem wprost znosił mój widok. Myślę, że ty wiesz na ten temat więcej niż ja. Widzisz - westchnęła głęboko i spojrzała na Dorothy z błyskiem nadziei w oczach - gdybym znała powód, może potrafiłabym mu wybaczyć.

- Dobrze, powiem ci - odparła Dorothy ze współczuciem w głosie, zaciskając palce na zawiniątku z pamiątkami. - Twój ojciec niechętnie mówił o swoich uczuciach, ale wiem, że ubóstwiał twoją matkę. Wiedzieli to wszyscy, którzy ich znali. Jane Bayliss, która pracowała u was jako pokojówka i sprzątaczką - może ją pamiętasz, wyszła potem za starego Hume'a, rzeźnika - mówiła, że twój ojciec nie był zachwycony, kiedy twoja mama zaszła w ciążę. Nie chciał się dzielić jej uczuciem z nikim, nawet z własnym dzieckiem, bo pragnął ją mieć całą dla siebie.

Caroline zmarszczyła brwi. Czy rzeczywiście jej ojciec kochał matkę tak obsesyjnie? Potwierdzały to listy, które znalazła na strychu. Kochał ją całym sercem, głęboko i niezachwianie. I podobnie silną niechęcią darzył swoje jedyne dziecko.

- A ona zmarła, kiedy ja się urodziłam - szepnęła cichutko Caroline, której w oczach stanęły łzy. O tym, oczywiście, wiedziała, chociaż ojciec nigdy nie wspominał jej o matce. Prawdę powiedziawszy, w ogóle rzadko się odzywał do córki, na ogół wydawał jej tylko szorstkie polecenia albo udzielał ostrych reprimend.

- Zmarła w godzinę po twoim urodzeniu - dodała

Dorothy, potrząsając ze smutkiem głową. - Wszyscy o tym mówili, to była wielka tragedia. Przyszłaś na świat trzy tygodnie przed terminem, na początku listopada.

Tej nocy niespodziewanie rozszalała się burza śnieżna. Utworzyły się ogromne zaspy i twój ojciec nie był w stanie wydostać się z domu, nikt też nie mógł do was dotrzeć. Poród był szybki, ale twoja mama bardzo się wykrwawiła i kiedy wreszcie na miejsce dotarł helikopter z pomocą lekarską, było już za późno. Wszystko to wyszło na jaw podczas dochodzenia w sprawie przyczyny jej zgonu.

Kiedy dostałam tu pracę jako gospodyni - ciągnęła Dorothy - od razu spostrzegłam, jak traktował ciebie ojciec i doszłam do przekonania, że nie mógł pogodzić się z tym, że jego żona umarła, a ty żyjesz. Gdy dorastałaś, stawałaś się coraz bardziej do niej podobna, ale nią nie byłaś.

- Więc to dlatego nie mógł na mnie patrzeć - szepnęła Caroline. - Obwinił mnie o jej śmierć.

- Wiesz, że bardzo go kochałam - powiedziała Dorothy. - Ale nie krępowałam się i zwracałam mu uwagę, że źle ciebie traktuje, chociaż kazał mi pilnować własnego nosa. Przecież to nie była twoja wina, nie prosiłaś się na ten świat. Wciąż mu o tym przypominałam. Wreszcie, po latach, zaczął trochę mięknąć, ale wtedy było już za późno. Ty z kolei stałaś się drażliwa i arogancka. Wielka szkoda, naprawdę. No cóż - zauważyła, spoglądając na zegarek. - Na mnie pora, przepraszam, że się tak zasiedziałam, ale cieszę się, że mogliśmy porozmawiać.

- Odwiozę panią - ofiarował się Ben.
- Nie trzeba - podziękowała Dorothy - przyjechałam moim gruchotem. Stoi pod domem.
- Więc panią odprowadzę.

Caroline została na chwilę sama ze swoimi myślami. Potrzebowała czasu, by uporządkować swoje wspomnienia o stosunkach, jakie łączyły ją z ojcem i o ich ostatnim starciu.

Miała wtedy niecałe osiemnaście lat i serce złamane przez ukochanego, który ją zdradził. Straciła głowę i nie była bynajmniej w pojednawczym nastroju, kiedy ojciec nalegał, żeby wyszła za Jeremy'ego Curtisa. Krzyczała, że woli umrzeć niż poślubić Jeremy'ego, że nie chce już więcej widzieć własnego ojca, zamiast mu spokojnie powiedzieć, że nie potrafi wyjść za mąż bez miłości. Sama czuła się głęboko skrzywdzona, toteż nie pomyślała nawet, czy nie zrani ojca, rzucając mu w twarz, że go nienawidzi i zawsze nienawidziła.

Było już za późno, żeby odwołać te gorzkie słowa i wybaczyć mu, że nie umiał jej kochać tak, jak powinien kochać ojciec. Niestety, dopiero teraz zrozumiała, dla-czego czuł do niej taką niechęć.

Ukryła głowę w dłoniach, a jej ramionami wstrząsnął cichy szloch. Dopiero wtedy, kiedy poczuła na włosach lekki dotyk ręki Bena, niemałym wysiłkiem woli udało jej się opanować.

- Nie rozpaczaj - szepnął łagodnie, ujął ją za ramiona i pomógł się podnieść. - Właśnie dowiedziałaś się czegoś, o czym przedtem nie miałaś pojęcia i to normalne, że jesteś wzburzona. Może teraz będzie ci łatwiej mu

wybaczyć, ale trudno wymagać, byś zapomniała, że nie był dla ciebie dobry.

Ben ujął w dłonie jej mokrą od łez twarz, przesunął palcami po pasmach kruczoczarnych włosów i dalej ją przekonywał:

- Twój ojciec miał obsesję na punkcie swojej jedynej wielkiej miłości i to jestem w stanie zrozumieć, ale nie powinien był w ten sposób traktować niewinnego dziecka. Jeśli przez ostatnie lata jego życia wciąż były między wami nieporozumienia, to z jego winy, a nie z twojej. Doprawdy, Caro, on nie zasługuje na tyle żalu.

- Może masz rację - wyszeptała cichutko Caroline i przytuliła głowę do jego piersi. Troska i współczucie, widoczne w jego oczach, ukoiły ją i dodały jej sił. - Kiedy byłam małą, niczego więcej nie pragnęłam, jak tylko go kochać. Ale czułam, że on tego uczucia nie odwzajemnia. Zdarzało mi się czasem pochwycić jego spojrzenie i dostrzegałam w nim nienawiść. Sądziłam, że to moja wina, że musi być we mnie coś tak strasznego, co wywołuje taką reakcję.

Dorothy miała jednak rację również w innej kwestii. Rzeczywiście był czas, kiedy ojciec próbował nawiązać ze mną kontakt, okazywał mi zainteresowanie, gdy przyjeżdżałam do domu na wakacje, pytał, jakich mam przyjaciół, jakie czytam książki.

Caroline zaczerpnęła powietrza i mówiła dalej nieco pewniejszym już głosem:

- Ale wtedy było już za późno. Miałam piętnaście lat i przywykłam do tego, że zawsze mnie odtrącał, ig norował. Teraz to ja odtrącałam jego wyciągniętą rękę,

zadzierałam nosa i robiłam swoje, nie oglądając się na niego. Chciałam mu pokazać, że go nie potrzebuję, że nikogo nie potrzebuję. W ten sposób odrzuciłam szansę poprawy naszych stosunków. Teraz gorzko tego żałuję. - Ależ Caro, zważywszy na okoliczności, trudno, żebyś mogła postępować inaczej. Doprawdy, uwierz mi, nie powinnaś siebie winić. Słuchaj, widzę, że jesteś zupełnie wykończona. Musisz odpocząć, uspokoić się, przez jakiś czas przestać o tym wszystkim myśleć. W tej chwili potrzebny ci jest sen - powiedział, wziął ją na ręce i zaniósł do swego pokoju.

RS

ROZDZIAŁ ÓSMY

Jego pokój... Jego łóżko... Rozrzucona pościel. Kochali się tu jeszcze kilka godzin temu. Dlaczego on ją tu przyniósł? Czy znów chce ją wykorzystać? Ale przecież okazał jej tyle troski. I za to tak bardzo go kochała. Z drugiej jednak strony wystarczyło sobie przypomnieć, jak potraktował Maggie Pope i ich córeczkę... Nic, tylko zamęt w głowie. Nic się tu nie zgadzało...

Tymczasem Ben postawił ją delikatnie na nogi, podtrzymał, gdy się zachwiała i powiedział:

- Daj sobie dziś spokój z prysznicem. Potrzeba ci snu i tylko snu - poradził i zaczął jej rozpinąć bluzkę. Żadnych pieśzcot, po prostu zupełnie spokojnie, niczym lekarz, rozebrał ją do naga, wzruszył poduszki, odwinął kołdrę i szepnął:

- No, marsz do łóżka. Myślę, że nie byłoby dobrze, gdybyś została zupełnie sama i dręczyła się wspomnieniami, więc położę się obok ciebie. Może będziesz mnie potrzebowała, może zechcesz pogadać albo po prostu się przytulić. Przytulić, i nic więcej, zgoda, Caro?

Caroline padła na łóżko, poczuła jak Ben przykrywa ją kołdrą, a potem usłyszała, że bierze prysznic w przyległej do sypialni łazience.

Kazał jej spać, ale ona nie mogła się doczekać jego powrotu. Kiedy wreszcie wszedł do sypialni, nie odezwał się ani słowem, po prostu zgasił światło i delikatnie wsunął się pod kołdrę, żeby jej nie przeszkodzić.

Nie przeszkodzić! Caroline o niczym nie marzyła, jak tylko o tym, żeby ją objął, żeby mogła przyłgnąć do niego całym ciałem, rozgorączkowanym, spragnionym dotyku jego warg, jego skóry.

- Proszę cię, przytul mnie teraz. Mocno! - odezwała się zduszonym szeptem.

Poczuła, jak znieruchomiał na chwilę, a potem obrócił się w jej stronę, przygarnął ją mocno, pogładził po policzku i szepnął:

- Jestem tu, kochanie. Chcesz porozmawiać?

On także był nagi. Krew zaczęła pulsować jej w żyłach, a oddech stał się przyspieszony. Nie, nie chciała teraz rozmawiać, pragnęła tylko znów stopić się z nim w jedno. Już, natychmiast. Jutro zdąży ochłonać i spokojnie położyć kres temu szaleństwu, powiedzieć mu, że nie jest w stanie poślubić mężczyzny, któremu nie ufa.

- Nie - westchnęła głęboko i wyciągnęła do niego ręce.

- Kochaj mnie. Potrzebuję ciebie.

Obawiała się, że będzie się czuła zawstydzona, gdy się obudzi. Zamiast tego była absolutnie szczęśliwa, spełniona, spokojna.

Posłyszała jakiś szmer, więc otworzyła oczy i ujrzała Bena, który stał nad nią we frotowym szlafroku, z włosami mokrymi po przed chwilą wziętym prysznicu.

Wyglądał zupełnie wspaniale, nie mogła oderwać od niego oczu.

Usiadła wygodnie na poduszkach i przeciągnęła się, a on postawił na nocnym stoliku dwa kubki z gorącą, aromatyczną kawą i przysiadł obok niej na brzegu łóżka.

- Wyglądasz rewelacyjnie - stwierdził z podziwem, wodząc wzrokiem po jej nagiej sylwetce. Po krótkiej chwili ujął ją za ręce i spojrzał jej figlarnie w oczy.

- Mam propozycję - wyznał.

Chwała Bogu, że nie propozycję małżeństwa, pomyślała Caroline. Nie miała w tej chwili najmniejszej ochoty zastanawiać się nad jego oświadczeniami. W ogóle nie miała ochoty o niczym myśleć. Czuła tylko, że miłość do tego mężczyzny rozkwitła w niej i nabrała nowych wymiarów, nowego życia.

- Proponuję, żebyśmy dzisiaj zrobili sobie wakacje. Nie wspominajmy przez ten dzień ani o przeszłości, ani o przyszłości.

- Świetny pomysł - uśmiechnęła się do niego bez chwili wahania. Dwadzieścia cztery godziny absolutnego, niezmaconego spokoju, do którego rzeczywistość nie będzie miała wstępu.

- Więc proponuję najpierw filiżankę kawy, a potem wspólny prysznic...

Wspólny prysznic okazał się wielką burzą zmysłów. Kiedy wreszcie wyszli z kabiny, Ben otulił Caroline żółtym, puchatym ręcznikiem, który pachniał słońcem i lawendą.

- Wyszuszyć się, skarbie, i ubierz. Nie ofiarowuję się z pomocą, bo inaczej nie zdążymy ze śniadaniem nawet na kolację. Masz ochotę na grzanki, jajka i herbatę?

- Tak, o niczym innym nie marzę.

Idąc do swojego pokoju Caroline przypominała sobie, że powinna skontaktować się z galerią i powiadomić szefa, iż planuje stąd wyjechać nazajutrz rano. Pewnie Edward zdziwi się, gdy się dowie, jak mało tu miała pracy i jak wiele czasu na nią poświęciła. Postanowiła zadzwonić jutro, przed wyjazdem. Niech się dzieje, co chce. Dzień dzisiejszy należy do niej. I do Bena. Jeden dzień w ciągu całego życia, to chyba niezbyt wiele?

Ubranie, które nosiła wczoraj, wrzuciła do pustej walizki, włożyła czystą, jedwabną bieliznę i, szczerząc wilgotne jeszcze włosy, rozmyślała, jak się dzisiaj ubrać. Poza Benem w domu nie było nikogo. Brygada budowlana rozebrała poprzedniego ranka rusztowania, a robotnicy pracujący na przyszłych polach golfowych byli daleko stąd, po drugiej stronie parku.

Skoro zostaną tu tylko we dwoje, zdecydowała się zupełnie zmienić wygląd. Włożyła bladoniebieską bluzkę z krepki z krótkimi rękawami i dekoltem w serek i trochę za szerokie i za krótkie dżinsy, które pożyczyła jej Linda, a gołe stopy wsunęła w mokasyny. Niesforne, gęsie włosy swobodnie opadały jej na ramiona. Gdy spojrzała w lustro, z zadowoleniem stwierdziła, że osiągnęła swój cel: w niczym nie przypominała pełnej rezerwy, chłodnej i elegancko ubranej damy, która przyjechała tu zaledwie parę dni temu. Uśmiechnęła się do siebie z ulgą. Tak swobodnie jak dziś nie czuła się i nie wyglądała od lat. Odpuściła so-

bie makijaż, jeszcze raz uśmiechnęła się do lustra i lekkim krokiem zbiegła po schodach do kuchni.

Na stole, nakrytym lnianym obrusem w biało-czerwoną kratkę, znalazła już grzanki, jajka na miękko, szklanki z sokiem pomarańczowym i słoik ciemnego, gryczanego miodu. Po chwili Ben przyniósł filiżanki z dymiącą kawą, której zapach unosił się w całej kuchni. Przez uchylone okno zaglądało słońce i wpadało świeże, poranne powietrze.

- Nie pamiętam, kiedy ostatnio jadłam tak obfite śniadanie - powiedziała Caroline. - Było naprawdę pyszne, ale chyba będę musiała rozluźnić pasek.

- Wobec tego proponuję, żebyśmy poszli na dłuższy spacer - uśmiechnął się Ben, kiedy Caroline dopijała drugą filiżankę kawy. - Może wybierzemy się do lasu? Chyba że masz ochotę na inne ćwiczenia fizyczne? - zagadnął, zerkając na nią z ukosa.

- Chodźmy najpierw na spacer - odparła, spuszczać niewinnie oczy. - A potem zobaczymy. - Zawsze spotykali się w lesie. Ukradkiem.

- Zgoda - powiedział Ben z szelmowskim błyskiem w oczach i wziął ją za rękę. - Jestem gotów na „potem”, kiedy skończymy z „najpierw”.

Trzymając się za ręce weszli na ścieżkę pod drzewami, które tworzyły baldachim z listków świeżej, wiosennej zieleni. Wokół panowała cisza, słychać było tylko szelest ich kroków na trawie, świergot ptaków i szmer strumienia.

- Muszę ci coś pokazać - oznajmił Ben, kiedy wyszli na polankę nad brzegiem strumienia. - Pamiętasz ten rozpadający się domek, w którym mieszkaliśmy?

Oczywiście, że go pamiętała. Nie mogła zapomnieć ani domku, ani tego okropnego dnia. Na myśl o nim zrobiło się jej ciężko na sercu. Ojciec dał Benowi pieniądze, byle się tylko odczepił od jego córki, Maggie Pope potwierdziła, że Ben jest ojcem jej dziecka i to, że gdy się o tym dowiedział, wrzucił tylko ramionami, oświadczył, że się do niczego nie poczuwa i odmaszerował z rękami w kieszeniach.

Więc Caroline napisała do niego list i przelała na papier cały swój ból, zawód i gorycz.

W ich domu zastała matkę Bena.

- Tutaj go nie ma - poinformowała ją krótko pani Dexter. Caroline wsunęła jej więc w rękę kopertę z listem.

- Proszę mu to doręczyć, kiedy wróci - poprosiła, rzucając ostatnie spojrzenie na domek, który chyba tylko cudem jeszcze się nie zawalił. Mury, okna, dach, wszystko było w opłakanym stanie.

Teraz nie mogła uwierzyć oczom. Domek był nie tylko kompletnie wyremontowany, ale dodano też do niego dwie symetryczne przybudówki tak zgrabnie zaprojektowane, że tworzyły harmonijną całość z pierwotnym budynkiem.

- No i jak? Co o tym sądzisz? - zagadnął Ben, otaczając ją ramieniem.

Caroline pobladła i odsunęła się od niego. Obiecali przecież sobie, że nie będą wracali do przeszłości i ten wyjątkowy dzień przeżyją tu i teraz.

- Czy twoja matka wciąż tu mieszka? - zapytała matowym głosem. Przypuszczała, że raczej nie, bo ogród, w którym pani Dexter usiłowała kiedyś hodować warzywa i owoce, wyglądał teraz jak porośnięta chwastami dżungla. - Ona mnie nigdy nie lubiła - dodała z cichym westchnieniem.

- Matka się ciebie bała - kiwnął głową Ben i z kieszeni dzinsów wyjął klucz. - Wiedziała, co do ciebie czuję i wciąż mi przypominała, że to się źle skończy.

Ben przekręcił bez trudu zamek i pchnął nowe, dębowe drzwi, które gładko się otworzyły.

- Powtarzała mi do znudzenia, że córka miejscowego dziedzica nigdy się nie zwiąże z wiejskim łobuziakiem, który ma marną reputację i jeszcze gorsze perspektywy na przyszłość. Teraz wiem, że nie rzuciłaś mnie ze snobizmu, Caro, ale twoje stosunki z ojcem, twoje trudne dzieciństwo, wszystko to sprawiło, że nie mogłaś się zdecydować na stały związek. Dzisiaj lepiej to rozumiem. Poza tym, byłaś wtedy jeszcze bardzo młoda.

No tak, pomyślała z goryczą Caroline, słuchając go można by pomyśleć, że to ona ponosi winę za wszystko, co się wydarzyło. A przecież z pewnością to on by ją wkrótce porzucił, podobnie jak Maggie i ich dziecko.

Tymczasem Ben ujął ją za ramię i przeprowadził przez próg. Wyczuł chyba jej lekki opór, bo rzucił lekko:

- Ale nie odpowiedziałem na twoje pytanie. Mama mieszka teraz ze swoją siostrą Jane w Derbyshire, na ich dawnej rodzinnej fermie. Jakies pięć lat temu, kiedy zmarli oboje dziadkowie, mama i ciotka sprzedały ziemię, ale zatrzymały dom.

Caroline i Ben weszli do największego pomieszczenia w domu, które dziś sprawiało wrażenie o wiele przestronniejszego i jaśniejszego niż przed laty. Widząc jej zdumienie Ben wyjaśnił:

- Kiedy tu mieszkaliśmy, ten pokój był przedzielony ścianką z płyty pilśniowej. Za tą przegrodą spała mama, a ja w pokoiku na górze, gdzie przeciekał dach i ruszały się pod nogami zmurszałe deski.

Z pokoju usunięto poobijaną, zardzewiałą kuchenkę, a na jej miejscu wybudowano kominek, w którym w czasie chłódów miał buzować ogień. Belki na suficie zostały oczyszczone z kilku warstw czarnej, olejnej farby i radowały oko naturalną barwą drewna.

- Mieszkaliśmy tu jak w chlewie - wyznał Ben. - Ale czynsz był niewysoki, a na nic lepszego nie mogliśmy sobie pozwolić.

- Chodź, usiądźmy na chwilę - zaproponował, i objąwszy ją ramieniem poprowadził ku szerokiej ławie pod oknem, wyłożonej polerowanym drewnem. - Szkoda, że nie miałaś okazji bliżej poznać mojej matki, kiedy tu mieszkaliśmy - zauważył. - Jestem pewien, że z czasem byście się polubiły. Ludzie uważali matkę za twardą i nieżyczliwą, ale to była tylko maska, którą nosiła. Miała naprawdę trudne życie i broniła się przed nim, jak umiała. Przedstawiała się jako pani Dexter, ale nigdy nie była mężatką. Pozwalała ludziom myśleć, że jest wdową albo rozwódką.

Mój ojciec pracował w wędrownym wesołym miasteczku. Pewnego razu mama i Jane wymknęły się do tego zakazanego przez rodziców, „rozpustnego” miejsca i tam,

już pierwszego dnia, mój przyszły ojciec ją uwiódł. Po tygodniu wesołe miasteczko ruszyło w drogę, a po miesiącu mama stwierdziła, że jest w ciąży.

Rodzice wprawdzie nie wyrzucili jej z domu, ale bynajmniej nie uprzyjemniali jej życia pod swoim dachem. Należeli do religijnej sekty o bardzo surowych obyczajach i nie kryli przed moją matką, że przyniosła im wstyd. Jakoś to wytrzymała, do czasu kiedy skończyłem dwa lata. Potem powiedziała, że nie zamierza już dłużej czekać na tego faceta, który był ojcem jej dziecka, machnęła na wszystko ręką, zwinęła manatki i wyniosła się z domu. Utrzymywała nas, jak tylko potrafiła. Najpierw osiedliśmy w Manchesterze na jakieś osiem lat. Potem wyjechaliśmy na południe i zamieszkaliśmy tutaj. Nie było łatwo, ale mama nie zamierzała się poddać.

Caroline przyznała po cichu, że istotnie mieli trudne życie. Ojciec Bena uwiódł młodą dziewczynę, a potem wyjechał, i tyle go widziano. Jaki ojciec, taki syn? Ale przecież ojciec Bena nie miał pojęcia, że spłodził syna. A Ben świetnie wiedział, że jest ojcem córeczki Maggie. I mimo to ją porzucił...

Gdy tak rozmyślała, Ben nagle poderwał się z miejsca, chwycił ją za rękę i z promiennym uśmiechem zawołał:

- Chodź, chcę ci pokazać cały dom. Rozbudowałem go z myślą o wygodzie mamy, ale ona twierdzi, że zostanie już z Jane w Derbyshire. Gdybyś chciała, mógłbym zrezygnować z apartamentu w dużym domu - w ten sposób byłoby więcej miejsca dla dzieci - i gdy chcielibyśmy tu wpaść, moglibyśmy mieszkać w tym domku.

Albo - uśmiechnął się znów radośnie i spojrzął na nią z ukosa - gdybyś wołała zrezygnować z pracy w mieście i wychowywać dzieci na wsi, moglibyśmy tutaj zamieszkać na stałe, a zatrzymać moje londyńskie mieszkanie i korzystać z niego, kiedy stęsknimy się za światowym życiem. Wszystko zależy od ciebie, kochanie.

Caroline zamarła, słysząc jego słowa. Widocznie po wczorajszej nocy uznał, że przyjęła jego oświadczenia... Niczego bardziej nie pragnęła, jak powiedzieć „tak”, ale jak mogła mu zaufać po tym, jak ją zawiódł dwanaście lat temu? Byłaby ostatnią idiotką, gdyby po raz drugi wpadła w tę samą pułapkę.

- Nic nie mówisz, Caro? - zapytał Ben spoglądając na nią z niepokojem, uważnie, jakby chciał wejrzeć w jej duszę.

Caroline cofnęła się o krok, skrzyżowała ręce na piersi i odezwała się zgaszonym głosem:

- Nie możemy oddzielić teraźniejszości od przeszłości, udawać, że tej przeszłości nie było, że nic się nie stało. Ty sam też tego nie potrafisz. Najlepszy dowód, że mnie tu przyprowadziłeś, mimo naszej umowy, że nie będziemy dziś rozmawiać ani o przeszłości, ani o przyszłości.

- Pamiętam, co powiedziałem - przyznał Ben poważnym tonem. Podeszedł do niej i delikatnie wygładził zmarszczkę, która pojawiła się między jej brwiami. - Byłem w błędzie. Nie uda się nam zapomnieć o tym, jacy kiedyś byliśmy i co było między nami, podobnie jak nie sposób nie myśleć o przyszłości. Dzień dzisiejszy jest tylko mostem, który to wszystko łączy.

Caroline westchnęła głęboko i spojrzała mu prosto w oczy. Znowu był w błędzie. Dla nich nie ma już przyszłości.

- Przemyślałam twoją propozycję, Ben - powiedziała łamiącym się głosem. - Nie mogę, naprawdę nie mogę cię poślubić.

RS

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Ben znieruchomiał i przez chwilę wpatrywał się w nią bez słowa, po czym odezwał się chłodno:

- To co się właściwie stało zeszłej nocy? I dziś rano? Po prostu seks? Nie możesz się bez niego obejść, a ja znalazłem się pod ręką?

- Nie! - wykrzyknęła z bólem Caroline. Nie mogła mu pozwolić, by tak o niej myślał, a jednocześnie nie mogła też wyznać, że nadal go kocha, bo wtedy usilnie by ją namawiał, żeby zdecydowała się na trwały związek, a na to nie mogła się przecież zgodzić.

Nadszedł czas prawdy i szczerości, niepełnej jednak, bo musiała się powstrzymać od wyjawienia mu głębi swoich uczuć. Wzruszyła więc ramionami i ciągnęła:

- Kiedy jesteśmy razem, wydaje się, że nic więcej się nie liczy, że reszta świata po prostu nie istnieje. Gdybym tylko umiała zawsze tak czuć, pewnie bym przyjęła twoją propozycję.

Odwróciła od niego wzrok, bo przykro jej było patrzeć, jak jego oczy, jeszcze przed chwilą pełne ciepła, humoru i namiętności, zrobiły się lodowato zimne.

A przecież to jeszcze nie było wszystko. Mogła się spodziewać jego reakcji, gdyby mu powiedziała, co o nim myśli. Żaden mężczyzna, który osiągnął tak

ogromny sukces finansowy, i którego firma stała się znana w wielu krajach, a nazwisko szanowane zarówno w świecie biznesu, jak i w kręgach towarzyskich, nie życzyłby sobie, by mu przypomniano, że w przeszłości zachował się nieetycznie.

Gdy spojrzała przez okno na zapuszczony ogród, poczuła nagłe ukłucie serca na myśl o tym, jak przyjemnie byłoby solidnie w nim popracować i cieszyć się potem jego urodą. Niestety, będzie się tym musiał zająć ktoś inny.

Odchrząknęła i z trudem zmusiła się do dokończenia tego, co musiała mu w końcu powiedzieć.

- Po tym, jak zawiodłeś tyle osób, nigdy nie potrafię ci zaufać. Mogłabym cię pragnąć, czuć, że mi się podobasz, ale obawiałabym się, że znowu możesz postąpić tak samo.

- Aha, więc znowu wracamy do tego, że cię zawiodłem. Chciałaś mi wczoraj wieczorem wyjaśnić, o co właściwie chodzi, ale wydarzenia potoczyły się inaczej. Więc wyrzuć to z siebie teraz, Caro - powiedział Ben z naciskiem.

- Doprawdy, trudno mi o tym dziś mówić - westchnęła Caroline. Czowała się bardzo zmęczona i zniechęcona. - Byłeś wtedy taki młody, pozbawiony zasad, narwany. Teraz przybyło ci dwanaście lat, jesteś człowiekiem sukcesu, bardzo zamożnym i szanowanym, ale przecież wiadomo, że ludzie się nie zmieniają radykalnie, nie w głębi duszy.

- Przejdź do rzeczy - rzucił ostro Ben.

Caroline zawahała się. Może jest zbyt uparta, zbyt

pryncypialna? Może powinna puścić przeszłość w niepamięć i nie odrzucać szczęścia, nawet gdyby miało się okazać krótkotrwałe? Ale nie. Zaufanie to sprawa podstawowa, nie sposób go odsunąć na bok, żyć bez niego.

- Mój ojciec dał ci pieniądze, bylebyś tylko wyjechał i więcej się do mnie nie zbliżał. A ty, przyjmując je, do wiodłeś, jak niewiele dla ciebie znaczą. Ale nawet tej haniebnej umowy nie dotrzymałeś: wróciłeś tu, bo chciałeś się dowiedzieć, czy zamierzam wyjść za Jeremy'ego Curtisa. Znowu postąpiłeś nieuczciwie.

Po chwili milczenia Ben spojrział na nią z wyrzutem i rzucił przez zęby:

- Twój ojciec rzeczywiście zaproponował mi łapówkę, ale ja tych pieniędzy nie przyjąłem. Powiedziałem mu, co może z nimi zrobić, nie owijając w bawełnę. I nie złamałem umowy, bo żadnej umowy nie było. Jeśli przed stawiał ci to inaczej, to znaczy, że skłamał, podobnie jak okłamał mnie, kiedy mi powiedział, że za parę miesięcy ogłosisz swoje zaręczyny.

Caroline spuściła wzrok, nie mogąc znieść wyrzutu w jego oczach.

- Tak mało masz we mnie wiary? - zapytał z ciężkim sercem. - Już ci przecież wyjaśniałem, dlaczego musiałem nagle wyjechać do Londynu i jak nie mogłem się doczekać powrotu, żeby usłyszeć, co ty masz do powiedzenia na temat swoich zaręczyn. Czy nie mogłaś postąpić tak samo? Poczekać, i dowiedzieć się, co ja mam do powiedzenia? Dlaczego tak łatwo uwierzyłaś ojcu, a mnie spisałaś na straty?

Caroline musiała w duchu przyznać mu rację. Miał

prawo czuć się zraniony i zagniewany. I gdyby sprawa niedosłej łapówki była jedynym problemem, wszystko wyglądałoby inaczej. Na pewno poczekałaby w Langley Hayes na powrót Bena i zapytałaby go, czy prawdą jest to, co powiedział jej ojciec. Ale to nie był jedyny problem...

- Niestety to nie wszystko - wykrztusiła z siebie Caroline, która nadal czuła ból, jaki sprawiła jej kiedyś ta okropna wiadomość. - Wiem, jak potraktowałeś Maggie Pope i jej maleńką córeczkę. Gdy dowiedziałam się o tym od ojca, nie chciałam mu wierzyć. Ale Maggie to potwierdziła. Zaszła z tobą w ciążę, a ty nie chciałeś nic o tym wiedzieć. A potem upolowałeś następną, chętną ofiarę. Mnie.

Zobaczyła, jak Ben pobladł i przymknął na moment oczy. No tak, pomyślała. Prawda bywa bolesna. Jednocześnie poczuła, że chciałyby dotknąć jego ręki, zawrzeć z nim pokój. Widocznie po tym też poznaje się miłość, że człowiek pragnie pocieszyć drugą osobę. Bo ostatecznie miłość wszystko wybacza, zrozumiała nagle, wstrząśnięta tym odkryciem.

Instynktownie wyciągnęła do niego rękę, ale on potrząsnął zdecydowanie głową i ruszył w kierunku drzwi.

- Nigdy nie dotknąłem Maggie Pope ani nie jestem ojcem jej dziecka. Teraz sama musisz zdecydować, komu chcesz uwierzyć. Bo w gruncie rzeczy wszystko sprowadza się do kwestii zaufania, nieprawda?

Wracali do domu przez las szybkim krokiem i w kompletnym milczeniu, które obojgu ciążyło.

Caroline chciała go poprosić, żeby, przez wzgląd na

to, co między nimi było, przestał kłamać. I żeby postarał się poprawić, odwiedził swoją córkę i zaczął pomagać finansowo w jej wychowaniu i wykształceniu. Może wtedy mogliby wreszcie zapomnieć o przeszłości i ruszyć do przodu...

- Ben, posłuchaj, proszę cię, nie okłamuj mnie - powiedziała łamiącym się głosem, gdy już byli na podjeździe.

On jednak machnął tylko niecierpliwie ręką i utkwiał w niej wzrok pełen pogardy.

- Nigdy cię nie okłamywałem. I proponuję, żebyś zaczęła słuchać głosu swego serca, a nie zimnego, skłonnego do osądów umysłu. A tymczasem może byś skończyła swoją robotę. Bo kto wie, czy nie zabraknie ci czasu albo ochoty, kiedy wreszcie powiemy sobie wszystko, co mamy na wątrobie - odezwał się rozkazującym tonem, po czym odwrócił się na pięcie i szybkim krokiem pomaszerował przez żwirowy podjazd do swego samochodu.

- Poczekaj! - zawołała Caroline, starając się, by jej głos zabrzmiał równie rozkazująco. Ale ku jej rozczarowaniu Ben ani się nie obejrzał, wsiadł do wozu, trzasnął drzwiczkami, zapuścił silnik i odjechał z piskiem opon.

Caroline zacięła usta i weszła do domu. Ten facet jest naprawdę niemożliwy. Czyżby pycha nie pozwalała mu ukorzyć się, przyznać, że źle postąpił? Czy musi wciąż kłamać? Czy uważa ją za kompletną idiotkę?

Przecież niemożliwe, by Maggie Pope powiedziała nieprawdę dwanaście lat temu. Dziewczyna, starsza od Caroline o kilka miesięcy, nie miała powodu, żeby kłamać.

I tak ten cały cudowny dzień, jaki mieli razem beztrudnie spędzić, przerodził się w koszmar nie do odwrócenia, pomyślała z żalem. Kiedy przechodziła przez hol, zawiedzioną, a zarazem złą na siebie, że znów okazała się tak naiwną, zadzwonił telefon. Najpierw postanowiła go nie odbierać, ale za moment zmieniła zdanie. Mogło to być coś pilnego. Może dzwonił któryś z wykonawców.

Odebrała telefon w dawnym gabinecie swego ojca. Była tak roztrzęsiona ostatnimi wydarzeniami, że w pierwszej chwili nie zorientowała się, z kim mówi.

- Michael - zdumiała się wreszcie, poznając jego głos.

- We własnej osobie! Posłuchaj, Caroline, jestem tu w okolicy. Na przedmieściach Shrewsbury odbywa się wyprzedaż antyków w jednym ze starych domów. Jeśli skończyłaś już pracę, mógłbym cię zabrać do Londynu. Sądząc po twoim głosie, musisz być wykończona, więc może skorzystasz z mojej propozycji?

Właściwie nie było już powodu, żeby przedłużała tu swój pobyt, ale na myśl o tym, że ma ostatecznie rozstać się z Benem, że ich czułe, a zarazem zaprawione goryczą spotkanie dobiegło końca i nie będzie już dalszego ciągu, poczuła się tak, jakby ktoś wbijał jej sztylet w serce.

Nie miała jednak innego wyjścia.

- Co ty na to? - powtórzył pytanie syn jej szefa. - Caroline, słyszysz mnie?

- Przepraszam cię. - Właśnie zbierałam myśli. Ale tak, dziękuję ci, chętnie się z tobą zabiorę. Nie mam tu już nic do roboty.

- Świetnie! - wykrzyknął Michael. - Podjadę po ciebie

koło czwartej. Może zatrzymamy się gdzieś po drodze i coś zjemy... no i pogadamy o tym, o czym zaczęliśmy rozmawiać przed twoim wyjazdem - dodał z nadzieją w głosie. - Ciao, skarbie!

Caroline wzdrygnęła się, słysząc to czułe słowo, którym tak często obdarzał ją Ben w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin. W jego ustach brzmiało ono tak szczerze - pomyślała z żalem, odkładając drżącymi rękami słuchawkę. Nie życzyła sobie, żeby jakiś inny mężczyzna tak ją nazywał. Nie chciała żadnego innego mężczyzny. Koniec, kropka.

W zasadzie nie mogła niczego zarzucić Michaelowi: był inteligentny, przystojny, mieli ze sobą wiele wspólnego. Ale, podobnie jak inni mężczyźni, z którymi spotykała się w ciągu ostatnich lat, po prostu nie był Benem.

Tak, musiała przyznać przed samą sobą, że poza Benem nie zainteresował jej żaden inny mężczyzna.

Również Ben wyznał jej, że nie potrafił związać się z żadną inną kobietą i że sprowadził ją tu po to, by wreszcie się przekonać, że Caroline przestała już być dla niego tą jedyną i niezastąpioną. I wreszcie przyznał szczerze, że mu się to zupełnie nie udało. Co jeszcze jej powiedział? „Proponuję ci, żebyś zaczęła słuchać głosu swojego serca”.

Bo on przed laty nie lekcewał głosu swojego serca, kiedy przeczytał pełen złości list, który Caroline zostawiła u jego matki, zanim na zawsze opuściła rodzinny dom. Starał się ją usprawiedliwić, pomyślał, że tak mogła zareagować siedemnastoletnia dziewczyna, która po prostu obawiała się poważnego zaangażowania i dalszych

zobowiązań. Oczywiście mylił się, upatrując w tym powód napisania przez nią tego listu, ale przynajmniej starał się ją zrozumieć. Może dlatego, że ją kochał i słuchał głosu swojego serca?

Może go źle go oceniała?

Gdy tylko ta myśl przemknęła jej przez głowę, poczuła niezwykłą radość i ciepło w sercu. Może odjechał tak nagle, bo był wzburzony i chciał się uspokoić, może potrzebował czasu by się zastanowić jak ją przekonać, że mówi prawdę?

Caroline postanowiła, że nie może biernie czekać na rozwój wypadków.

Wypiła w kuchni szklankę wody, poprawiła włosy, wyszła z domu i ruszyła w stronę wsi.

Uwierzyła Benowi, że jej ojciec skłamał, mówiąc, iż Ben przyjął od niego pieniądze. Znała ojca dobrze i wiedziała, że uczyniłby wszystko, aby zniszczyć ich związek, zanim Jeremy Curtis mógłby się dowiedzieć o jego istnieniu. Nie mógł pozwolić, by jego plan został zniweczony. Postanowił, że Caroline zostanie dziedziczką majątku Curtisów i był gotów usunąć wszelkie przeszkody na drodze do tego celu. Uczucia córki zupełnie się dla niego nie liczyły.

Caroline spadł wielki kamień z serca, gdy to sobie uświadomiła. Ale pozostał następny.

Pozostała sprawa Maggie Pope. Czyżby także ona kłamała?

Gdy weszła na drogę, ujrzała ołowianą chmurę, która właśnie przesłoniła słońce. Nagle zrobiło się chłodno i znów powiało zimą. Caroline pomyślała, że powinna \

wrócić do domu po żakiet i parasolkę, ale szkoda jej było czasu, niedługo miał po nią przyjechać Michael. Tymczasem musiała odnaleźć Maggie, jeśli ta jeszcze mieszka w okolicy, i wydobyć z niej prawdę.

Szła szybko, żeby jak najprędzej znaleźć się we wsi. Mimo zimnego wiatru, miała wrażenie, że serce jej śpiewa, i słuchała jego głosu. Ben nie kłamał, nie był człowiekiem zimnym i nieczułym ani wtedy, gdy go przed laty pokochała, ani teraz, czego dowodziły chociażby jego plany względem Langley Hayes.

Ben chciał ją poślubić dwanaście lat temu i także dziś pragnął, by została jego żoną. I nie zmarnowałiby tych długich dwunastu lat, gdyby ona była wówczas dojrzała, gdyby nie uwierzyła w kłamstwa ojca i sama z Benem porozmawiała, posłuchała, co on ma do powiedzenia, nie przestała mu wierzyć, mimo zapewnień ojca, że Ben opuścił ją na zawsze.

Caroline przyrzekła sobie, że wszystko to Benowi wynagrodzi i przyspieszyła kroku, gdyż tymczasem z lekkiej mżawki zrobił się deszcz, przed którym nie miała się gdzie schronić.

Dlaczego Maggie skłamała? Czy chciała w ten sposób się zemścić, bo Ben Dexter, który podobał się tylu dziewczynom, nigdy jej nawet nie tknął, a ona tak o tym marzyła? Może chciała wszystkim udowodnić, że jednak mu na niej zależało?

No cóż, to są tylko spekulacje, pomyślała Caroline. Teraz pora dowiedzieć się prawdy, odkryć, co się kryło za tym kłamstwem, które wyrządziło tyle szkody.

Gdy zbliżała się do pierwszych wiejskich domostw,

deszcz przeszedł nagle w ulewę i Caroline, wtulając głowę w ramiona, postanowiła szukać schronienia w sklepie, który, jak pamiętała, znajdował się nieopodal.

Mijając jeden z domów usłyszała, jak ktoś gwałtownie stuka w szybę. Przystanęła, zaciekawiona, kto pragnie zwrócić na siebie jej uwagę, i zobaczyła, że w oknie stoi Dorothy Skeet i gwałtownie daje jej znaki, żeby weszła do środka jej małego, ładnego domku z gankiem od frontu.

- Przemokłaś do suchej nitki! - zawołała Dorothy na widok Caroline, która stanęła w holu ociekając wodą. - Zobaczyłam cię, jak szłaś drogą. Z mojego okna wszystko widać. Wejdź i ogrzej się przy kominku, zaraz przyniosę ręcznik, żebyś sobie mogła wytrzeć włosy. I zrobię herbatę.

Caroline z wdzięcznością przyjęła zaproszenie, weszła do przytulnego, trochę zagraconego pokoju i usiadła przy kominku, w którym wesoło buzował ogień.

- Ładnie się urządziłaś, Dorothy - pochwaliła, gdy dawna gospodyni weszła z tacą, na której ustawiła przybory do herbaty. - Dobrze ci się tu mieszka?

Śmierć ojca Caroline musiała być dla Dorothy Skeet ciężkim przeżyciem. Straciła nie tylko mężczyznę, wokół którego koncentrowało się jej całe, mało urozmaicone życie, ale także dach nad głową i środki utrzymania. Caroline pomyślała, że teraz ona powinna poczuwać się do odpowiedzialności za dalsze losy gospodyni, która tyle lat spędziła w ich domu. Z pewnością po opłaceniu długów niewiele jej zostało ze spadku, więc jeśli Dorothy ma trudności finansowe, należy jej pomóc.

- Tak, zupełnie dobrze - odparła Dorothy, nalewając gorącą indyjską herbatę z brązowego czajniczka. - Brak mi, oczywiście, twego ojca, i sądziłam, że będę się czuła samotna, ale właściwie tak nie jest. Zawsze nawinie się ktoś, z kim mogę sobie pogadać, no i - jak już mówiłam - z mojego okna widać wszystko, co się dzieje we wsi.

No tak, Dorothy zawsze lubiła ploteczki i uwielbiała się nimi dzielić, przypominała sobie Caroline.

- Wiem, że daleko ci jeszcze do emerytury. Więc jak sobie radzisz? Proszę cię, nie krepuj się i powiedz mi. Jeśli masz trudności, z chęcią ci pomogę.

- To bardzo miło z twojej strony, Caroline, ale naprawdę niczego mi nie brak - odrzekła Dorothy, zagłębiając się wygodnie w fotelu. - Kiedy firma pana Dextera przejęła Langley Hayes, on sam wyjaśnił mi, dlaczego nie może mnie zatrzymać, w każdym razie nie na stałe. Musi zaangażować kogoś, kto by sobie umiał poradzić z tymi ulicznikami, których roznosi energia. Ale kiedy przyjedzie pierwsza grupa, mam tam przychodzić codziennie na kilka godzin i pomagać, gdzie się da, starać się trochę z nimi zaprzyjaźnić i im matkować. Póki co, pan Dexter hojnie mi płaci. Powiem ci, że dobry z niego człowiek - dodała, mieszając machinalnie herbatę w ładnej filiżance z cienkiej porcelany.

Tak, to nie ulega wątpliwości, przytaknęła jej w duchu Caroline, której ze wzruszenia serce stanęło w gardle. Najlepszy. Więc dlaczego potrzebowała tyle czasu, żeby to uznać? Tak uporczywie pielegnowała jego fałszywy obraz, że prawda nie miała szansy się przebić.

Jej własny ojciec nie potrafił jej kochać. Czy dlatego,

podświadomie, bała się, że nikt inny jej nie pokocha? Czy dlatego tak łatwo uwierzyła w kłamstwa na temat Bena, że gdzieś, w głębi serca, sądziła, że on jej nie kocha, że ją tylko wykorzystuje dla własnej przyjemności?

Odstawiła pustą filiżankę i zamknęła na chwilę oczy, żeby zebrać myśli. Nie, nie będzie poddawać siebie amatorskiej psychoanalizie. Do niedawna starała się nie wracać do przeszłości, wyznaczała sobie zadania na dziś i na jutro, przede wszystkim z myślą o swojej pracy zawodowej, i widziała świat w barwach czarno-białych, nie dostrzegając pośredniej skali szarości.

Postanowiła zrezygnować z odszukania Maggie i pozwolić jej zachować swoją tajemnicę. Mimo że jej kłamstwo wyrządziło wielką szkodę, wyrzucanie jej dziś tego, co uczyniła wiele lat temu, nie miałoby sensu. Caroline była przekonana, że Ben mówił prawdę, kiedy oświadczył kategorycznie, że nigdy nie tknął Maggie Pope. Teraz należało zamknąć przeszłość, w której zdarzyło się tyle nieporozumień i pomyśleć o wspólnej przyszłości.

Caroline podniosła głowę, uśmiechnęła się do Dorothy i podeszła do okna.

- Chyba przestało już lać - powiedziała. - Muszę pójść się przebrać, bo wyglądam jak zmokła kura.

Michael miał po nią przyjechać o czwartej, pomyślała, ale kto wie, może jednak zdąży jeszcze zobaczyć się z Benem, odwoła wszystkie krzywdzące go słowa, poprosi o wybaczenie i powie mu, że go kocha.

Z okna, przed którym stała, widać było malowniczy, choć zaniedbany stary pub, który od paru pokoleń należał do rodziny Maggie Pope. Jeśli jeszcze mieszkała w tej okolicy,

to zapewne właśnie w tym domu. Przed którym, częściowo ukryty za drzewami, stał samochód. Jaguar. Czyżby to był wóz Bena?

Jakby w odpowiedzi na jej pytanie, w otwartych drzwiach pubu ukazał się on sam. Wyszedł szybkim krokiem na podjazd, z marsową miną, za nim ze spuszczoną głową dreptała Maggie. Jej jasne włosy były potargane, a oczy zaczerwione od łez. Tuż obok biegła w podskokach szczupła, wysoka dziewczynka z ciemnymi warkoczami.

- Więc to jest córeczka Maggie - odezwała się bezwiednie Caroline.

- Tak - potwierdziła Dorothy. - Właśnie skończyła dwanaście lat. Ma na imię Angela, choć Bóg mi świadkiem, że daleko jej do aniołka. Pakuje się we wszystkie możliwe tarapaty. Bardzo podobna do ojca, nie uważasz?

Caroline poczuła się tak, jakby ktoś rozerwał jej serce na strzępy. Zrobiło się jej słabo. Wprawdzie warkocz dziewczynki były o parę tonów jaśniejsze od włosów Bena, ale jej zgrabna sylwetka, ruchy pełne naturalnej gracji i radość życia na twarzy...

- On za żadne skarby się nie przyzna, że jest ojcem Angie, ale przecież każdy wie, jak to było – ciągnęła Dorothy, rada, że może znowu poplotkować. - Przyłapano ich na gorącym uczynku, i to nieraz. Oczywiście nie ma mowy, żeby on się z nią ożenił i dał córce swoje nazwisko. Ani mu się śni popełnić taki mezalians. No cóż, to prawda, że nasza Maggie nie grzeszy urodą ani bystrością umysłu. Z jego pozycją i majątkiem – trudno oczekiwać, żeby chciał się z nią związać.

Caroline zupełnie oniemiała. Chciała się pożegnać i uciec stąd jak najprędzej, ale nie mogła oderwać oczu od okna. Zobaczyła, jak Ben uśmiechnął się do małej, coś do niej powiedział i wyciągnawszy z kieszeni kilka monet, włożył jej do ręki. Dziewczynka od razu pobiegła przez skwer do sklepiku, zaś Ben z poważnym wyrazem twarzy zwrócił się do Maggie.

- Muszę przyznać, że od czasu do czasu je odwiedza
- trajkotała w najlepsze Dorothy, nieświadoma uczuć targających sercem Caroline. - Zwykle przychodzi, kiedy pub jest zamknięty, mniej więcej o tej porze. Pewnie trochę im pomaga finansowo, taką mam nadzieję, ostatecz nie, jak wiesz, do ubogich to on nie należy.

Caroline z trudem przemogła się, by odejść od okna i zduszonym głosem odezwała się:

- Przepraszam, ale naprawdę muszę już iść.
- Żałuję, ale jeśli tak, to może pan Dexter cię podwiezie, kiedy skończy rozmawiać z Maggie.
- Nie, dziękuję! - wykrzyknęła Caroline i niemal biegiem opuściła dom Dorothy.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Zdała sobie sprawę, że znowu ucieka, podobnie jak dwanaście lat temu, podejrzewając o najgorsze ukochanego mężczyznę i nie próbując dowiedzieć się, co on sam ma do powiedzenia. To, co mówiła Dorothy, nie musi być prawdą. Bajeczki wiejskich plotkarek, nie mających nic lepszego do roboty, jak tylko wścibiać nos w cudze sprawy, trudno przecież brać poważnie.

Caroline postanowiła, że nie popełni po raz drugi tego samego błędu. Porozmawia teraz z Benem, powtórzy mu, co usłyszała od Dorothy i z dobrą wiarą wysłucha jego wyjaśnień.

Spojrzała na zegarek. Za niecałą godzinę miał przyjechać Michael, zostało jej więc niewiele czasu, żeby dotrzeć do domu, doprowadzić się do porządku i przebrać przed rozmową z Benem. W żadnym wypadku nie mogła mu się pokazać w takim stanie. Czowała się okropnie w zabłoconych workowatych dżinsach, mokrej bluzce i z włosami w strąkach.

Ruszyła więc przed siebie różnym krokiem, omijając kałuże. Powinna zdążyć wysuszyć włosy i przebrać się w kostium, w którym przyjechała.

Gdy jej oczom ukazał się wreszcie dom, ujrzała przed nim błękitne BMW Michaela, który właśnie z niego wy-

siadł i z zainteresowaniem przyglądał się fasadzie domu. Przyjechał przed czasem, pomyślała, niezadowolona, że pokrzyżował jej plany. Teraz będzie musiała go uprzedzić, że czeka ją jeszcze rozmowa z Benem i poradzić, by może lepiej sam pojechał do Londynu, a ona wróci trochę później.

Michael, wyraźnie zadowolony, że ją widzi, z szerokim uśmiechem na twarzy wyszedł jej na spotkanie. Otworzył ramiona i mocno ją uściskał.

- Przyjechałeś trochę za wcześnie – powiedziała z lekkim wyrzutem Caroline, ale zaraz złagodziła ton.

Musi się opanować. On przecież nie jest niczemu winien.

- Muszę jeszcze...

Gdy to mówiła, usłyszała chrzęst żwiru na podjeździe, zwiastujący, że właśnie wrócił Ben. Gdy jego jaguar zwolnił i zrównał się z nimi, Caroline ujrzała, jak Ben uważnie się im przygląda. Akurat w tej chwili Michael objął ją jeszcze śmieiej, i śmiejąc się serdecznie, zawołał:

- Coś ty z sobą zrobiła, kochanie? Bardziej przypominasz stracha na wróble niż moją piękną, zawsze elegancką partnerkę!

Nie była jego partnerką, w żadnym sensie tego słowa, była tylko jego koleżanką, pomyślała ze złością, niecierpliwie strząsając z ramienia jego rękę. Ben tymczasem rzucił jej piorunujące spojrzenie i z piskiem opon zatrzymał samochód obok BMW.

Caroline zdecydowanym krokiem ruszyła natychmiast w jego stronę, ale Michael powstrzymał ją, mocno chwytając za rękę.

- Czekaj, dokąd się tak spieszysz?

- Muszę porozmawiać z Benem... Z panem Dexterem...

- W porządku. Ja się nie spieszę, a on też nigdzie się chyba nie wybiera.

Istotnie, Ben czekał przy samochodzie - wysoki, smukły, zabójczo przystojny, ale wyraźnie zagniewany i nieprzystępny.

Michael widocznie w ogóle nie zauważył jego złego nastroju, bo śmiało podszedł do Bena, wyciągnął do niego rękę i odezwał się przyjaźnie:

- Panie Dexter, cieszę się, że znowu spotykam człowieka, który znalazł odpowiedni dom, aby umieścić w nim moje wielkie odkrycie. - Widząc, że Ben patrzy na niego, jakby nie wiedział, o czym mowa, wyjaśnił:

- Mówię o „Pierwszej miłości”, wielkim odkryciu tego dziesięciolecia.

Ponieważ Ben nadal nie reagował na jego słowa, Michael uznał, że powinien mu się przypomnieć.

- Jestem Michael Weinberg. Caroline powiedziała mi przez telefon, że skończyła już tutaj pracę, a ja zaproponowałem, że zabiorę ją do Londynu. Przyjechałem wprawdzie trochę przed czasem, ale chyba dobrze się stało, bo mam wrażenie, że ona chciałaby szybko stąd wyruszyć.

Spojrzał na Caroline z uśmiechem i głosem świadczącym o pewnej zażyłości między nimi, powiedział:

- Zatrzymamy się po drodze na wczesną kolację. Za dzwoniłem z telefonu komórkowego i zarezerwowałem stolik w dobrej restauracji w okolicach Banbury. Zrekompensujemy sobie ten wieczór, kiedy byliśmy umó-

wieni, ale musieliśmy przełożyć spotkanie z powodu twojego wyjazdu.

Mówiąc to, objął ją w pasie poufałym gestem. Patrząc na nich, można by pomyśleć, że stanowią parę, pomyślała Caroline. Poczula, że się rumieni, a zaraz potem zrobiło się jej zimno, gdy napotkała pełne pogardy spojrzenie Bena, które na dłuższą chwilę spoczęło na jej twarzy.

- Tak, teraz już rozumiem - rzekł, zwracając się do Michaela spokojnym głosem. Ruchem ręki wskazał dom i zaproponował:

- Zechce pan poczekać w środku? Jestem pewien, że panna Harvey szybko się przebierze. Może przedtem zrobi panu herbatę?

Wobec Michaela zachowywał się grzecznie, lecz chłodno, natomiast na Caroline był wściekły i wcale nie próbował tego ukryć. Właściwie dlaczego? Czy, słuchając Michaela, mógł pomyśleć, że to ona do niego dzwoniła i prosiła, by ją stąd zabrał? A może razila go ta przesadna poufałość, sposób, w jaki Michael mówił do niej i o niej, i to, jak ją obejmował? A może to wszystko razem tak go zirytowało?

Nie byłoby w tym nic dziwnego. Jeszcze jeden powód, dlaczego powinni koniecznie porozmawiać i wiele sobie wyjaśnić. Ale czy w takim nastroju Ben w ogóle zechce jej wysłuchać?

Weszła do kuchni, włączyła czajnik elektryczny i zaczęła ustawiać na tacy naczynia do herbaty. Ręce tak jej się trzęsły, że jedna z filiżanek zsunęła się i roztrzaskała na podłodze. Akurat w tej chwili do kuchni wszedł Ben i zamknął za sobą drzwi.

Zapanowała cisza, brzemienne w niezadane pytania, oskarżenia, nieporozumienia. Oboje czuli jej ciężar, potrzebę wypowiedzenia wielu rzeczy, odwołania niesłusznych posądzeń, zadania cisnących się na usta pytań.

Caroline zaczęła nerwowo sprzątać skorupy po filizance, Ben natomiast stał bez ruchu, z rękami skrzyżowanymi na piersi i popatrywał na nią zimnym wzrokiem. Tymczasem zagotowała się woda i podczas gdy Caroline wyrzucała do śmieci skorupy, Ben zalał wodą listki herbaty, które wysypała do porcelanowego czajniczka.

- Skoro byłaś gotowa wyjechać ze swym szarmanckim wybawcą jeszcze przed moim powrotem, to ciekaw jestem, czy zamierzałaś znów zostawić mi list pożegnalny?

Zanim Caroline zdołała się odezwać, sam sobie udzielił odpowiedzi, z chłodną precyzją ustawiając tymczasem na tacy cukierniczkę i dzbanuszek z mlekiem:

- Nie, chyba byś tego nie zrobiła. Jak powiedział twój partner, nie możesz się doczekać wyjazdu stąd, więc z pewnością nie chciałybyś tracić czasu na pisanie. Już mi zresztą powiedziałaś, co o mnie myślisz.

- Widzę, że jesteś bardzo zagniewany, ale ja też czuję się nie najlepiej - zauważyła Caroline, której wciąż nie opuszczało napięcie. Pomyślała jednak, że jest już dorosłą, inteligentną kobietą, wzięła głęboki oddech, opanowała się i rzekła stanowczo:

- Uważam, że powinniśmy porozmawiać.

Ben spojrzał na nią jakby ze zdziwieniem. Przekrzywił lekko głowę i rzekł:

- Doprawdy nie wiem, o czym, bo wszystko już sobie

powiedzieliśmy. Ale jeśli nalegasz - wzruszył lekko ramionami - przed twoim wyjazdem udzielię ci pięciu minut swojego czasu.

Z tacą w ręku podszedł do drzwi, lecz zatrzymał się przy nich, odwrócił i powiedział:

- Proponuję, żebyś teraz poszła przygotować się do wyjazdu, a ja tymczasem podam herbatę twemu partnerowi. Aha, jeszcze jedno. Pół godziny temu rozmawiałem z Maggie Pope. Wyznała, że twój ojciec zapłacił jej, aby wskazała mnie jako ojca swego dziecka. Może cię zainteresuje ta wiadomość. Trzeba przyznać, że zrobił dobry użytek z pieniędzy, których ja nie chciałem przyjąć. Oczywiście nie spodziewam się, że mi uwierzysz. Pewnie zdążyłaś pomyśleć, że jakoś wymusiłem na niej to wyznanie, na przykład: wykręciłem jej rękę...

Mówiąc to wyszedł z kuchni, zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć.

Caroline postanowiła jednak nie wkładać kostiumu, w którym wyglądałaby zbyt oficjalnie, i ubrała się w wąską, świetnie uszytą zieloną spódnicę i dobrany do niej, nieco jaśniejszy kaszmirowy sweterek. Ale nawet umiejętnie zrobiony makijaż nie mógł zatuszować udreki malującej się w jej oczach, ani znamionujących napięcie zmarszczek wokół ust.

Uważała to za bardzo znamienne, że Ben podkreślił słowo „partner”. Uznał, że łączy ją z Michaeliem związek o wiele bliższy niż w rzeczywistości. A sposób zachowania jej kolegi tylko potwierdzał to domniemanie.

Przed wyjściem ze swego pokoju, w którym niegdyś

spędziła prawie osiemnaście lat życia, Caroline postanowiła, że od tej chwili będzie myśleć pozytywnie. Przecież nadal kocha Bena, i, co nie mniej ważne, całkowicie mu ufa. To, co jej powiedział o Maggie Pope i poczynaniach jej ojca, wszystko wyjaśniało. A więc koniec z podejrzeniami.

Ben z pewnością już na nią czeka, pomyślała. Zdecydowanym ruchem wzięła walizkę i ruszyła w stronę schodów.

- No, aż miło teraz na ciebie popatrzeć! – zawołał Michael. - Warto było poczekać! - W jego orzechowych oczach dostrzegła typowo męską aprobatę. - Jeśli jesteś gotowa - powiedział, wstając z fotela i biorąc od niej walizkę - to możemy jechać. Wiesz, cieszę, że już wracasz do firmy. Brakowało mi ciebie.

Caroline udała, że tego nie słyszy.

- Nie mogę jeszcze jechać - oświadczyła stanowczo. - Muszę porozmawiać z Benem.

- Już wyjechał - rzucił Michael niefrasobliwie i ruszył w stronę drzwi. - Nie przejmuj się. Prosił, żebym cię w jego imieniu pożegnał i podziękował ci.

Pożegnał? Czy to miało być ostateczne pożegnanie? I podziękował? Za co? Za te kilka godzin szalonej miłości?

- Dokąd wyjechał? - zapytała łamiącym się głosem. Przecież obiecał, że z nią porozmawia. Nie mógł tak po prostu wyjechać. Chyba że był tak rozczarowany i zniechęcony jej brakiem zaufania, że nie chciał jej widzieć, a już na pewno nie miał zamiaru pozwolić, by go jeszcze raz nazwała kłamcą.

- Nie mam pojęcia - wzruszył ramionami Michael.
- Powiedział tylko, że właśnie sobie przypomniał o jakimś umówionym spotkaniu i pognął jak szalony.

Coś tu nie gra, pomyślała Caroline.

Gdyby rzeczywiście nagle sobie przypomniał o jakimś spotkaniu, które było zbyt ważne, by je mógł odwołać i gdyby naprawdę chciał wyjaśnić z nią wszystkie nieporozumienia, jak to wcześniej zapowiadał, wtedy zostawiłby inną wiadomość, na przykład, że teraz musi wyjechać, ale skontaktuje się z nią później.

Caroline była pewna, że Ben zmyślił to spotkanie, bo miał po prostu dosyć tłumaczenia się przed kobietą, która jasno dała mu do zrozumienia, co sądzi o jego zasadach moralnych.

Michael potwierdził jej domysły, kiedy wsiadali do samochodu.

- Dexter prosił, bym mu przedstawił rachunek za twoją pracę, ale możesz sobie darować szczegółową wycenę. Sam podejmie decyzję, co warto zatrzymać, a czego nie. Właściwie to nie bardzo rozumiem, po co on cię tu ściągnął - zauważył, zapinając pas i włączając silnik. - Ale jeśli ma fantazję wyrzucać pieniądze, to jego sprawa. - Tymczasem samochód ruszył łagodnie po podjeździe. - Ciekaw jestem, czy znalazłaś tu coś interesującego?

- Nie bardzo - odpowiedziała Caroline i niemal bezwiednie wymieniła meble, które warto by zachować w charakterze inwestycji. Sama nie bardzo wiedziała, co mówi, bo myślami błędziła gdzie indziej.

Skoro Ben nie życzył sobie, by sporządziła wycenę na piśmie, mogło to tylko znaczyć, że pragnie uniknąć

dalszych kontaktów. Dał sobie wreszcie z nią spokój, i, gdy spróbowała na to spojrzeć z jego punktu widzenia, nie mogła mu tego mieć za złe.

Wreszcie dokonał tego, co sobie zaplanował. Udało mu się od niej uwolnić raz na zawsze.

RS

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Usadowiona wygodnie naprzeciwko Michaela w niewielkiej, ale elegancko urządzonej restauracji na przedmieściach Banbury, Caroline zachodziła w głowę, jak mogła sobie w ogóle wyobrazić, że ich bliskie i przyjacielskie stosunki w pracy mogłyby przekształcić się w trwały związek. Małżeństwo, budowanie wspólnego domu, dzieci - i wreszcie wierne towarzyszenie sobie w starości.

Nie, nigdy nie potrafiłaby go poślubić. To naprawdę niemożliwe. Przedtem nie zdawała sobie z tego sprawy. Jakżeby mogła pokochać jego, czy jakiegoś innego mężczyznę, skoro Benowi oddała serce i nigdy go nie odzyskała? Michael za to z pewnością zasługuje na wartościową partnerkę, która szczerze go kiedyś pokocha.

Wpatrując się niewidzącymi oczyma w talerz z zieloną sałatą, którą zamówiła, Caroline pograżyła się w ponurych rozmyślaniach. Czekala ją przyszłość samotna i pozbawiona miłości.

- Widzę, że nie nęci cię ta zielenina - zauważył Michael.
- Muszę przyznać, że wygląda niezbyt atrakcyjnie. Szkoda, że nie zdecydowałaś się na kaczkę. Jest naprawdę wyśmienita.

- Przepraszam cię - uśmiechnęła się blado i bez en-

tuzjizmu nadzieją na widelec liść skropionej sosem sałaty. - Chyba po prostu jestem zmęczona.

Właściwszym słowem byłoby: wykończona. Pozbawiona energii i nadziei. Zbyt apatyczna, by powiedzieć Michaelowi, że wolałaby pojechać wprost do Londynu, niż zatrzymać się w drodze na kolację. Poza tym, nie chciała być samolubna. Michael był pewnie głodny jak wilk, sądząc po tym, jak szybko sprzątnął swoje danie.

- Zmęczona? - uniósł jasną brew i oparł się wygodniej w krzesło. - Właściwie czym, jeśli, jak sama mówiłaś, niewiele znalazłaś w Langley Hayes?

Caroline uznała, że nadszedł czas szczerości i że winna jest Michaelowi uczciwe wyjaśnienie, dlaczego ich stosunki muszą się ograniczyć do przyjaźni.

- Nie chciałabym się wdawać w szczegóły, ale Ben, to znaczy pan Dexter i ja mieliśmy romans dwanaście lat temu. Po kilku miesiącach wszystko się skończyło. Nie widziałam go potem aż do tego wieczoru, kiedy przyszedł do galerii obejrzeć portret Lassoona. Przez te parę dni, które tu spędziłam, przeżyłam prawdziwy wstrząs.

- Dobry Boże! - jęknął Michael i przez chwilę wpatrywał się w nią ze zdumieniem. - Ty go wciąż kochasz, prawda?

W odpowiedzi Caroline skinęła głową, nie mogąc dobyć głosu, on zaś ciągnął dalej:

- To musi być prawdziwa miłość, jeśli, mimo rozłąki, przetrwała tyle lat. No cóż - uśmiechnął się do niej z zakłopotaniem - widzę, że nie mam u ciebie szans. Chyba nigdy nie miałem, prawda? Po prostu byłaś zbyt delikat-

na, żeby mi dać kosza. Ale mam nadzieję, że pozostaniemy przyjaciółmi?

- Oczywiście - odparła z wdzięcznością, zadowolona, że przyjął jej słowa w miarę łagodnie. Nie chciała go skrzywdzić. Świetnie wiedziała, jaki ból sprawiają zranione uczucia. Nie życzyłaby tego najgorszemu wrogowi.

- On też ciebie kocha? - przerwał milczenie Michael.

- Kiedyś chyba tak było - szepnęła Caroline, której serce znów się ścisnęło. - Ale teraz już nie.

- Odniosłem wrażenie, że w powietrzu coś wisi. Pokłóciliście się?

- Coś w tym rodzaju.

Michael pochylił się i delikatnie dotknął jej dłoni.

- Posłuchaj, jestem pewien, że on się zreflektuje, obojętne, o co się posprzeczaliście, bo przecież nie jest idiotą.

No i muszę wyznać, że ja sam trochę narozrabiałem.

Mógł być sobie nie wiem co pomyśleć... Widzisz, rozmawialiśmy przez chwilę, zanim zeszłaś na dół i Dexter mnie o ciebie wypytywał. Chciał wiedzieć, na czym polega twoja praca w galerii, jaką masz tam pozycję, czy bardzo jesteś z nią związana, i tak dalej. - Zamilkł na chwilę, ponieważ kelner właśnie przyniósł drugie danie.

Czyżby Ben nadal chciał ją poślubić? Mimo wszystko? Inaczej po co by zadawał te pytania? Ale nie, to niemożliwe, z pewnością nie mógł się pogodzić z tym, że ona mu nie ufa.

Caroline zrezygnowała z deseru, po prostu nie mogła niczego przełknąć, ale Michael zamówił dla siebie kawę i, popijając ją, mówił dalej:

- Czuję się jak idiota. Nie miałem o niczym pojęcia,

no bo i skąd? Sądząc z moich słów, Dexter mógł się domyślać, że jesteśmy parą. Powiedziałem mu, że w przyszłym roku, kiedy ojciec przejdzie na emeryturę i ja przejmę firmę, zostaniesz moim pełnoprawnym partnerem. A także - mówiąc to, zaczerwienił się po uszy -moją żoną. No cóż, miałem pewne nadzieje, ale to był zdecydowany falstart. Ojciec zawsze mi powtarzał, że jedną z moich głównych wad jest nadmierna pewność siebie. Posłuchaj - dodał z ciężkim westchnieniem - jeśli to by to mogło wam pomóc się pogodzić, gotów jestem zrzucić pychę z serca, zadzwonić jutro rano do Dextera i wszystko mu wyjaśnić.

- Nie, wolałabym, żebyś tego nie robił - odparła bez wahania Caroline. Przecież wszystko między nimi jest już skończone. Ben dał jej aż nadto wyraźnie do zrozumienia, co o niej myśli. Jego rozmowa z Michaeliem nie miała większego znaczenia, to był tylko ostatni gwóźdź do trumny. Ten związek i tak był bez przyszłości.

- Wierz mi, to by naprawdę niczego nie zmieniło - pokręciła głową Caroline i spojrzała znacząco na zegarek. - Jeśli jesteś gotów, to może jedźmy już? Muszę się dobrze wyspać, jeśli ma być ze mnie rano jakiś pożytek.

Sen jednak rzadko dawał jej wypoczynek, skonstatowała Caroline cztery tygodnie później, odkurzając swój skąpo umeblowany salonik. W ciągu dni pracy jakoś sobie radziła, niczym zbroję przywdziewała kostiumy z elegancyjnych domów mody, kryła twarz pod maską makijażu i pozwalała się bez reszty pochłonać zajęciom w galerii. Weekendy spędzała z przyjaciółmi, obojętne

z którymi, byle tylko mieli dla niej czas. Ale wieczory i noce...

Noce były po prostu koszmarne. W snach, coraz częściej erotycznych, główną rolę odgrywał oczywiście Ben. Caroline zwykle budziła się w kulminacyjnych momentach, ale Bena wtedy przy niej nie było...

Podczas bezsennych godzin, które dzieliły ją od świtu, przekonywała siebie, że wszystko przecież skończone i musi się z tym pogodzić, uznać, że Ben na dobre machnął ręką na ich niefortunny związek i ostatecznie się od niej uwolnił. Nie mogła jeść ani spać i była bliska znienawidzenia samej siebie, czuła, że się załamuje psychicznie, dręczona myślami o utraconej miłości.

Zła na siebie, odrzuciła ściereczkę do kurzu. Cóż, sama jest sobie winna. I musi się jakoś pozbierać, nikt inny za nią tego nie zrobi.

Edward Weinberg przyjrzał się jej niedawno i powiedział:
- Kiepsko wyglądasz. Albo jesteś chora i nie chcesz się do tego przyznać, albo zanadto harujesz w galerii. Podejrzewam raczej tę drugą ewentualność, więc proszę, weź dwa tygodnie urlopu. Pojedź do jakiegoś ciepłego kraju i wygrzej się na plaży.

Może Edward ma rację, pomyślała. W ciągu tych dwóch tygodni stanęłaby na głowie, by odzyskać równowagę i zrobić coś pozytywnego. Ale co?

Nie miała ochoty wylegiwać się na plaży i pograżać w ponurych rozmyślaniach. Najlepszym lekarstwem byłaby spora dawka ciężkiej pracy fizycznej.

Niewiele myśląc, szybko rozejrzała się po swoim bar-

dzo skromnie urządzonego mieszkania, chwyciła zakiet i zdecydowanym krokiem ruszyła na miasto. Wróciła po dwóch godzinach, uginając się pod ciężarem puszek z farbą, pędzli, próbek materiałów, tanich dżinsów i bawełnianych koszulek.

Ze swego lokum, które dotychczas było dla niej właściwie tylko sypialnią, zamierzała zrobić prawdziwy dom.

- Twoje mieszkanie jest doprawdy nie do poznania! - zakrzyknęła z podziwem Danielle Booth, sąsiadka z naprzeciwka, która zajrzała przez uchylone drzwi.

- Tak myślisz? Podoba ci się? - zapytała Caroline, lustrując wzrokiem przedpokój, który, uprzednio szary, smętny i zaniedbany, miał teraz ściany brzoskwiniowego koloru i stał się przytulny, podobnie jak nieco ciemniejszy salonik w głębi.

- Cudownie! - pochwaliła ją Danielle. - Ale do głowy by mi nie przyszło, że sama weźmiesz się do takiej roboty. Sądziłabym raczej, że osoba z taką klasą jak ty zaangażuje ekipę, a sama na czas remontu wyniesie się do w hotelu. No i jak dotąd, zawsze widywałam cię ubraną elegancko...

- Cóż, kiedyś trzeba zacząć - odparła Caroline z trochę wymuszonym uśmiechem. Nie mogła przecież wyznać Danielle, że ciężka praca była dla niej teraz jedynym ratunkiem, i że dzięki niej mogła się powstrzymać od nieustannego rozpamiętywania przeszłości. Tego, co mogło być, co było przez krótką chwilę i co tak niemądrze odrzuciła. - A poza tym fajnie jest czasami nie myśleć o swoim wyglądzie - dodała.

- Słuchaj, urobisz sobie ręce po łokcie - stwierdziła Danielle. - Przyda ci się mała przerwa. Może wyskoczymy do kina, a potem na kolację?

- Przykro mi - odmówiła jej Caroline - ale jeszcze dzisiaj muszę położyć tapety w sypialni. Może innym razem?

- Caroline Harvey - westchnęła głęboko Danielle, opierając ręce na rozłożystych biodrach - jesteś najbardziej upartym stworzeniem, jakie tylko... - w tym momencie zamilkła, gdyż przerwał jej inny, mocniejszy głos:

- Całym sercem się w panią zgadzam.

Ben!

Caroline nie potrafiłaby nawet powiedzieć, czy wypowiedziała głośno jego imię, poczuła tylko, jak na chwilę zamarło jej serce. Danielle wlepiła oczy w Bena i oblała się rumieńcem. Caroline doskonale rozumiała jej reakcję. Na widok Bena mało która kobieta nie straciłaby głowy. Dziś prezentował się po prostu fantastycznie: bardzo wysoki, świetnie zbudowany, męski, w srebrnoszarym garniturze, który idealnie na nim leżał. Ciemne włosy miał znakomicie ostrzyżone, a spod długich, gęstych rzęs spozierały oczy czarne jak węgle.

Caroline wyczuła, że nadal jest na nią zagniewany. Wydawało się, że powietrze jest dosłownie naładowane emocjami. Mimo to Ben zdołał uprzejmie uśmiechnąć się do Danielle, która oblała się jeszcze żywszym rumieńcem i wybąkała niepewnie:

- No to ja już się z tobą pożegnaj, Caroline. Wiesz, zamówiłam się do fryzjera. Hej!

Już za plecami Bena odwróciła się do Caroline, wzniosła oczy ku niebu i na znak aprobaty podniosła kciuk.

- Nie zaprosisz mnie do środka? - zagadnął Ben głosem uprzejmym, lecz chłodnym.

Caroline bała się, że serce wyskoczy jej z piersi. Tak bardzo marzyła o spotkaniu z nim i tak długo na nie czekała, ale rzeczywistość ją zmroziła. Ben sprawiał na niej wrażenie obcego człowieka, wyglądał tak, jakby bezlitośnie wymazał z pamięci wszystko, czym byli dla siebie, te cudowne chwile wspólnych uniesień, gdy oboje czuli się jak w raju.

Z posępną miną wszedł do saloniku i jednym spojrzeniem ogarnął cały bałagan, poodsuwane meble, pochłapane farbą gazety na podłodze. Potem skierował wzrok na nią i w tym momencie Caroline uświadomiła sobie, jaki musi przedstawiać widok w lichych, workowatych dżinsach, wyciągniętej, umazanej farbą bawełnianej koszulce i z włosami przewiazanymi sznurkiem.

Jednak w tym przeciągłym spojrzeniu jego zmrużonych oczu dostrzegła iskierkę zmysłowości i nagle w jej sercu znów zrodziła się nadzieja. Może nie wszystko stracone? Może Ben coś jeszcze do niej czuje?

Bo tego, co między nimi było, niezwykłego pociągu seksualnego połączonego z braterstwem dusz, które prze-I rwało dwanaście długich lat rozłąki i sprawiło, że żadne /, nich nie potrafiło sobie znaleźć innego partnera życiowego, nie sposób chyba wymazać w ciągu kilku godzin.

Caroline chciała przerwać to pełne napięcia milczenie i pomóc Benowi, by się otworzył i wyznał, dlaczego tu przyszedł, chociaż nie chciał z nią rozmawiać owego okropnego, ostatniego dnia w Langley Hayes.

- Może - wykrztusiła z trudem - napiłbyś się kawy?

- Nie przyszedłem tu w celach towarzyskich - odparł chłodno, patrząc jej prosto w oczy. Stał przed nią nieruchomo, na lekko rozstawionych nogach, z rękami w kieszeniach spodni. - Minął już miesiąc od naszego spotkania. Nie zabezpieczyłem się wtedy. Wprawdzie teraz, kiedy wiem o twoim związku z młodym Weinbergiem, domyślam się, że pewnie bierzesz pigułkę. Muszę się jednak upewnić, czy nie jesteś w ciąży. A jeśli tak, to chcę wiedzieć, czy dziecko jest moje, czy Weinberga. Jeśli mi powiesz, że nie spodziewasz się dziecka, zostawię cię w spokoju. I obiecuję, że już nigdy mnie nie zobaczysz.

Caroline zachwiała się, kiedy Ben odebrał jej ten ostatni, nikły promyczek nadziei. Usta jej zadrżały, a krew zaszmiała głośno w uszach. Tyle bólu, po tym wszystkim, co już przeżyła. Bólu wprost nie do zniesienia.

Nagle zrobiło się jej ciemno w oczach i osunęła się na podłogę.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Jak przez mgłę ujrzała twarz Bena i usłyszała jego głos, dochodzący jakby z daleka. Wydawało się jej, że słoneczny, majowy poranek przemienił się w listopadową szarówkę.

Gdy potrząsnęła głową, ostrość widzenia powróciła. Czyżby w czarnych oczach Bena dostrzegła wyraz troski?

Nie, oczywiście, że już mu na niej nie zależy. Gdyby nie dał się porwać namiętności i zabezpieczył się, kiedy się kochali, w ogóle by tu nie przyszedł, pomyślała z goryczą.

Przez chwilę próbowała uwolnić się z ramion, które ją podtrzymywały i stłumić łkanie.

- Przestań! - rzucił ostro Ben. Wziął ją na ręce i zaglądając do kilku pomieszczeń, znalazł w końcu drogę do sypialni.

Jednym ruchem ręki zgarnął z wąskiego łóżka rolki tapet i stosy gazet, po czym ostrożnie ją na nim położył.

- Nie ruszaj się - powiedział. - Przyniosę ci szklanę wody.

Jego baczne spojrzenie spod ściągniętych brwi przekonało ją, że Ben wcale się o nią nie troszczy. Po prostu narobiła mu kłopotu i uznał, że musi jej pomóc, ale najchętniej uniknąłby całej tej hecy.

Wtuliła twarz w poduszkę i poczuła, jak przeszył ją dreszcz. Nagle zapragnęła, żeby Ben sobie stąd poszedł. Byłoby jej lepiej, gdyby została sama i jakoś uporała się z faktem, że wszystko skończone. Nie chciała go widzieć ani pamiętać takiego, jaki był teraz: zimny, wzgardliwy, nieprzystępny.

Jakże on musi jej nienawidzić!

- Wypij to.

Caroline niechętnie uniosła się na poduszkach, unikając jego wzroku.

- Zemdlałaś - stwierdził obojętnie Ben, gdy ona drżącą ręką podniosła do ust szklanke. - O ile wiem, często się to zdarza kobietom w pierwszych miesiącach ciąży.

Caroline poczuła, że ogarnia ją gorąca fala gniewu. Przechyliła się przez krawędź łóżka i odstawiła szklanke na podłogę, z trudem opanowując pokusę, aby nią w niego rzucić.

Z poczucia obowiązku zjawiał się tutaj po to tylko, żeby się dowiedzieć, czy ona nie jest w ciąży.

Pięknie!

Ale chciał się również dowiedzieć czy - jeśli tak -ojcem będzie on czy Michael.

A to było paskudne, nad wyraz irytujące!

Jak mógł coś podobnego o niej pomyśleć?

- A co zamierzasz zrobić, jeśli potwierdzę, że jestem w ciąży? - zapytała z czystej złośliwości, zerkając na niego spod spuszczonej rzęsy.

- Ożenić się z tobą, jeśli to moje dziecko, i zapewnić mu należytą opiekę i wychowanie - oznajmił Ben bez cienia emocji.

- A jeśli ojcem jest Michael? - przykręcała śrubę Caroline, która chciała trochę mu dokopać. Niech się po-martwi!

- To już jego sprawa - rzucił przez zęby Ben. - Ten palant chyba liczy na to, że poprowadzi cię do ołtarza. Nie ma pojęcia, że ty nie jesteś zdolna do trwałego związku.

Caroline miała już powyżej uszu tych nieporozumień i nieudanych prób ich wyjaśnienia.

- Jeśli chcesz koniecznie wiedzieć, to mogę cię zapewnić, że nie jestem w ciąży - stwierdziła zimno i stanowczo. Przymknęła oczy i czekała na trzaśnięcie drzwi.

Ben znał już odpowiedź na swoje pytanie i nie miał tu nic więcej do roboty.

W pokoju jednak zapanowała kompletna cisza. Dopiero po chwili Ben odezwał się gniewnym głosem:

- Więc może mi powiesz, o co tu u diabła chodzi? Skąd ta głupia gadka „co zrobisz, jeśli dziecko jest twoje, a co zrobisz jeśli jest jego”?

- Chciałam ci tylko odplacić pięknym za nadobne. Jak mogłeś w ogóle coś takiego o mnie pomyśleć? Że kochałabym się z tobą, gdybym była związana z Michaeliem Weinbergiem?

- I to cię tak rozzłościło? - zapytał z sarkazmem Ben. - No, to teraz wiesz jakie to uczucie, kiedy ktoś, kogo kochałaś, nie ufa ci? Kiedy uważa, że jesteś zdolna do wszelkich możliwych przekrętów?

„Kochałaś”. Czas przeszedł. Ostateczny. A więc - jeszcze raz koniec wszelkiej nadziei. Caroline usiadła na łóżku i spuściła nogi. Trzeba wreszcie położyć kres temu koszmarowi.

Wiedziała, że nigdy nie zapomni Bena, ale z czasem ten okropny ból złagodnieje. Na jej sercu utworzy się blizna, duża i twarda, i dzięki niej Caroline będzie mogła kontynuować bez przeszkód swoją pracę zawodową, bo tylko praca jej teraz została i zapomnieć, że była kiedyś zdolna do miłości.

Podniosła głowę, śmiało spojrzała Benowi w oczy i odezwała się spokojnie, skutecznie maskując zamęt i wzruszenie:

- Możesz już iść. Wszystko w porządku. Nie mam pojęcia, dlaczego zemdlalam. To nie w moim zwyczaju - dodała z lekkim uśmiechem. - Może zatrulałam się oparami z farb.

Nie dodała naturalnie, że od kilku tygodni prawie nie sypia i nie może nic przełknąć, i że właśnie przeżyła śmierć nadziei, którą na krótko odzyskała.

- To może wpuścimy tu trochę powietrza - zaproponował Ben i zaczął otwierać okna w całym mieszkaniu.

Tymczasem Caroline wstała z łóżka i skierowała się do kuchni, w której zastała Bena. W drzwiach zachwiała się i musiała uchwycić futryny.

Proszę cię, idź już sobie, błagała go w głębi duszy. Muszę zacząć znów się od ciebie odzwyczajając i pożegnać z wszelką nadzieją na przyszłość. To będzie bolało. Chcę teraz zostać sama.

Tymczasem Ben rozglądał się po kuchni, w której panował kosmiczny bałagan, walały się otwarte puszki z farbą, namoczone pędzle, stare szmatki do wycierania pobrudzonych farbą powierzchni. Puste kartony po sokach. I wysuszona pizza, którą kupiła dawno temu, ale nie była

w stanie przełknąć nawet kęsa, bo na widok jedzenia robiło się jej niedobrze.

- No, no - Ben pokręcił głową z podziwem - kto by pomyślał, że taka elegancka dama zechce sobie pobrudzić wypielegnowane rączki.

- Ben, proszę cię, idź już sobie.

On jednak nie zważał na jej słowa, włączył czajnik i zaczął otwierać szafki, szukając kubków i herbaty w torebkach. Resztki mleka w kartonie nadawały się już tylko do zlewu.

- Pusta lodówka, spleśniała pizza. Jak możesz tak nie dbać o siebie?

Z niewielkiego, kwadratowego stolika zdjął stertę starych gazet, postawił na nim kubki z herbatą, przysunął dwa kuchenne krzesła i powiedział tonem nie znoszącym sprzeciwu:

- Siadaj.

- Naprawdę nie musisz podawać mi herbaty i zajmować się mną. Sama sobie świetnie radzę - zaprotestowała miękko Caroline.

- To się rzuca w oczy! - zachnął się Ben. - Przykro mi, kiedy widzę cię w takim stanie - przecież ty dosłownie lecis z nóg.

Caroline znów serce drgnęło na te słowa, ale postanowiła skończyć z robieniem sobie nadziei.

Kilka łyków świeżej, mocnej herbaty dodało jej dość sił, by odważyła się zadać Benowi pytanie, które wciąż ją nurtowało.

- Więc kto jest ojcem córki Maggie Pope? Czy ci powiedziała?

- Przecież już zdecydowałaś, że to ja - odparł szorstko.

- Ale zmieniłam zdanie. Wiem, co ci powiedziała: że mój ojciec jej zapłacił za te kłamstwa. Przyznaję - rzekła znużonym głosem - że uwierzyłam w nie dwanaście lat temu i wierzyłam nadal, aż do niedawna. Kiedy ojciec mi oznajmił, że przekupił cię, bylebyś tylko zniknął na zawsze z okolicy. W pierwszej chwili nie mogłam mu uwierzyć. Myślałam, że to do ciebie niepodobne, że kochasz mnie tak samo, jak ja ciebie.

Odstawiła pusty kubek, przeczesła palcami zmierzwiłone włosy i ciągnęła dalej:

- Ale przyszedł następny cios. Mój ojciec powiedział, żebym zapytała Maggie Pope, kto jest ojcem jej dziecka. Może nie powinnam była tego słuchać, ale spróbuj mnie zrozumieć. Miałam tylko siedemnaście lat i czułam się bardzo zagubiona i wzburzona tym, co się wokół mnie działo. Ty gdzieś przepadłeś, a ojciec posiał we mnie ziarno zwątpienia. Musiałam się dowiedzieć prawdy. Wiesz, co Maggie mi powiedziała, i wiesz dlaczego. Muszę przyznać, że świetnie odegrała swoją rolę.

Ben bacznie się jej przyglądał, ale nie wyrzekł ani słowa. Nawet jeśli jej brak zaufania zabił w nim miłość, Caroline i tak poczuła ulgę, gdy zrzuciła ten ciężar z serca. Zaczepnęła głęboko powietrza i podjęła opowieść:

- Tego ostatniego, okropnego dnia, kiedy ci powiedziałam, że nie mogę cię poślubić, bo straciłam do ciebie zaufanie, kiedy wsiadłeś do samochodu i odjechałeś, poszłam do wsi, żeby odszukać Maggie i wydobyć z niej

prawdę. Pamiętasz, jak mi poradziłeś, żebym słuchała głosu swojego serca? Moje serce powiedziało mi, że mówiłeś cały czas prawdę, że nie jesteś człowiekiem nieczułym i bezwzględny, takim, który mógłby tak bardzo zawieść. Ale jeśli tak, to dlaczego Maggie kłamała? Tego właśnie chciałam się dowiedzieć. Gdy jednak dotarłam do wioski, lunął deszcz i musiałam poszukać schronienia u Dorothy. Obie widziałyśmy przez okno ciebie, Maggie i jej córeczkę. Dorothy, patrząc na ciebie, opowiadała mi o ojcu matki, i dawała mi do zrozumienia, że go znam. Tak, jakby mówiła o tobie.

- I znowu uwierzyłaś?

- Nie, niezupełnie - potrząsnęła głową Caroline. Wróciłam do domu, żeby na ciebie poczekać. Zadzwoił do mnie przedtem Michael, wspomniał, że jest w okolicy i zaproponował, że mnie podwiezie do Londynu. Postanowiłam, że musimy koniecznie porozmawiać, że uwierzę ci, cokolwiek mi powiesz. Obiecałeś mi tę rozmowę. Ale kiedy zeszałam na dół, już cię nie było.

Przez dłuższą chwilę Ben milczał. Wreszcie, gdy nagle zerwał się na nogi, Caroline pomyślała, że zabiera się do odejścia. Ale on podszedł do niej, przyciągnął ją do siebie i spojrzał jej prosto w oczy.

- Ojcem Angeli jest Jeremy Curtis. Może dlatego Dorothy mówiła o nim jak o kimś, kogo dobrze znałaś.

Jeremy? Wielkie nieba! Romansował z biedną Maggie, podczas gdy ich ojcowie planowali połączenie rodzin Harveyów i Curtisów!

- Byłem wstrząśnięty, kiedy zobaczyłem, że szykujesz się do wyjazdu i że odjechałabyś bez pożegnania

- przyznał Ben. - Wydobyłem wreszcie prawdę z Maggie i chciałem się nią z tobą podzielić w nadziei, że wreszcie mi zaufasz i zgodzisz się być moją żoną. Ale nie mogłem już dłużej słuchać tego, co nawijał Michael, bałem się, że nie wytrzymam i go znokautuję, więc wziąłem nogi za pas.

- Michael i ja od dawna razem pracujemy, jesteśmy dobrymi kolegami, a po jego rozwodzie zaprzyjaźniliśmy się. To wszystko - wyjaśniła Caroline. - Przysięgam ci, że nigdy nic między nami nie było. Szczerze mówiąc, powiedział mi niedawno, że pragnie czegoś więcej. Sama też zdałam sobie sprawę, że lata lecą i pomyślałam, że może z czasem moglibyśmy bardziej się zbliżyć. Ale właśnie wtedy znowu spotkałam ciebie...

I szybko zrozumiałam - ciągnęła łamiącym się głosem - że nigdy nie przestałam cię kochać i nigdy nie przestanę, bez względu na wszystko. Michael zorientował się, że coś nie gra. Powtórzył mi, co ci naopowiadał i kiedy mu wyznałam, że cię kocham, ofiarował się, że zadzwoni do ciebie i wyjaśni sprawę. Ale ja nie liczyłam na twoje przebaczenie. A potem...

Ben nie pozwolił jej dokończyć. Podeszedł do niej bez słowa, mocno otoczył ramionami i złożył na jej ustach długi, gorący pocałunek, a ona natychmiast przyłgnęła do niego całym ciałem. Znowu byli razem, czuli, że są sobie przeznaczeni. Byli bratnimi duszami, rozumieli się bez słów, tworzyli razem jedno.

Po chwili Ben wziął ją na ręce i zaniósł do sypialni.

- Już nigdy nie pozwolę ci odejść - szepnął. - Przysięgam, że będę cię kochał i troszczył się o ciebie do

końca życia. Musimy nadrobić te stracone lata. Chodź, kochanie moje, już teraz zawsze będziemy razem.

Ciepłe, majowe słońce skusiło Caroline do wyjścia z domku, zanim jeszcze zabrała się do porannych obowiązków. Ogarnęła ją radość życia. W lecie wokół domu ptaki śpiewały jak szalone, a oczyszczony z chwastów i zarośli ogród, w którym posadziła ozdobne krzewy i kwiaty, już zaczynał cieszyć oko. Za dwa dni będą świętować pierwszą rocznicę ślubu.

Był to rok niczym nie zmaćonego szczęścia. Caroline nie przypuszczała, że dwoje ludzi może osiągnąć tak wielką bliskość. Do niedawna nie rozstawali się na dłużej niż na parę godzin. Razem podróżowali, zatrzymywali się w londyńskim mieszkaniu Bena, przyjmowali gości i sami bywali zapraszani, razem urządzali się na wsi, gdzie stworzyli elegancki, a zarazem przytulny dom, razem doglądali młodzieży, która przyjeżdżała w gościnę do dużego domu.

Zycie jest cudowne, pomyślała Caroline, wystawiając twarz na ciepłe promienie słońca i wdychając łagodne, czyste powietrze. Już jutro Ben ma wrócić do domu i będzie się z nim mogła podzielić radosną wiadomością, w którą samej trudno jej jeszcze było uwierzyć.

Po raz pierwszy wymówiła się od wspólnej podróży, kiedy Ben musiał polecieć w interesach na tydzień do Amsterdamu. Był trochę rozczarowany, ale wreszcie uśmiechnął się i zapytał:

- A co będziesz robić beze mnie?
- Och, pochodzę wreszcie po sklepach, no i znów

muszę wypielić ogród - odrzekła Caroline. Było jej wstyd, że nie powiedziała mu całej prawdy, ale przecież najpierw sama musiała się upewnić.

Teraz, po dwóch godzinach walki z chwastami, podniosła się wreszcie z kolan i rozmasowała zeszywniały kręgosłup. Otrzepała dżinsy z grudek ziemi, poprawiła bladoniebieską bluzkę, która wysunęła się spod paska spodni, założyła włosy za uszy i ruszyła do cienia. Przeszła ścieżką koło domu, i dalej przez łąkę i furtkę w parkanie. Po chwili znalazła się na leśnej polanie, nad brzegiem szumiącego strumienia.

Często przychodziła tu z Benem, do tego szczególnego dla nich miejsca, gdzie niegdyś spotykali się ukradkiem. Był to ich rytualny spacer, nieomal pielgrzymka. To prawdziwy cud, że odnaleźli się po latach...

Nagle Caroline bardziej wyczuła niż usłyszała jego obecność. Szybko się odwróciła i ujrzała go, jak wynurzał się z lasu.

- Ben! - zakrzyknęła radośnie. Rozpromieniona, podbiegła do niego i rzuciła mu się w ramiona, a on uniósł ją lekko, okręcił się z nią w kółko i pocałował. Tak bardzo się stęsknił, że nie mógł się od niej oderwać.

- Myślałam, że przyjedziesz dopiero jutro - powiedziała, z trudem łapiąc oddech.

- Urwałem się wcześniej. A kiedy nie zastałem cię w domu i zobaczyłem górę chwastów, które będę musiał usunąć, domyśliłem się, że jesteś tutaj.

- Muszę ci coś powiedzieć - szepnęła Caroline.

- Ja też mam ci coś do powiedzenia - wyznał Ben.

- To ty mów pierwszy - poprosiła.

- Popraw mnie, jeśli się mylę, ale wydaje mi się, że, podobnie jak ja, uważasz to miejsce za nasz prawdziwy dom, drogi nam obojgu?

- To prawda - potwierdziła z przekonaniem Caroline.

- Widzisz, właściwie dobrze się złożyło, że nie poleciałaś ze mną do Amsterdamu. Bardzo za tobą tęskniłem, ale potrzebowałem czasu i spokoju, żeby móc załatwić wszystko do końca i sprawić ci w ten sposób niespodziankę. A więc w przyszłości będę mógł pracować przede wszystkim w domu. Koniec z nagłymi wyjazdami służbowymi. Odtąd będziemy podróżowali tylko dla przyjemności, dokądkolwiek zamarzysz. Rozbudujemy trochę dom, żeby pomieścić wszystkie urządzenia do szybkiej łączności. Co ty na to?

- Jak na lato - odparła radośnie Caroline, zrzucając mu ręce na szyję. - Wszystko cudownie się składa. Sam się przekonasz, kiedy usłyszysz, co ja mam ci do powiedzenia.

- Mianowicie?

- Jestem w ciąży. Upewniłam się u lekarza po twoim wyjeździe. Nie pojechałam do Londynu na zakupy, bo mam przecież wszystko, czego mi potrzeba.

Ben na moment znieruchomiał i szeroko otworzył oczy, po czym rozpromienił się i wykrzyknął:

- Najdroższa moja! Nie posiadam się ze szczęścia! Bravo, Caro, moja ukochana!

- Szczęście chodzi parami - zauważyła Caroline, z trudem przybierając poważną minę, chociaż miała wielką ochotę się roześmiać. - Bo to jeszcze nie koniec. Oczekujemy bliźniąt.

Kiedy Ben po dłuższej chwili wypuścił ją z ramion, obsypawszy jej twarz pocałunkami, Caroline dodała:

- Musimy dobudować pokój do zabaw. A kiedy dzieci będą chciały jeździć konno, zbudujemy stajnię i ogrodzimy maneż. A jeśli rodzina nam się jeszcze bardziej powiększy, potrzebne będą dodatkowe sypialnie. Coś mi się wydaje, że z tego domku zrobi się z czasem duży dom. Co ty na to?

Ben pociągnął ją na miękką trawę i przytulił tak mocno, że na chwilę straciła oddech.

- Jak na lato - powtórzył jej słowa. - Kochana, niechaj wszystko będzie u nas coraz większe i coraz lepsze. Jak moja miłość do ciebie - coraz większa i coraz lepsza pod każdym względem, każdego nowego, cudownego dnia.